



WIARUS



A. Baon A. psp
PISMO DLA ŻOŁNIERZY WYDAWANE PRZEZ
WOJSK. INSTYTUT NAUKOWO - WYDAWNICZY



Kolekcja
Emila Kornasia

NA POŻEGNANIE.

Rozkaz Ministerstwa Spraw Wojskowych o ześrodkowaniu prasy żołnierskiej w jednym ognisku, któreby jednolicie oddziaływało na cały nasz świat szeregowych, rozstrzygnął o zamknięciu „Wiarusa”. Poraz zatem ostatni — jako współpracownicy „Wiarusa”—zwracamy się do Ciebie, nasz czytelniku szeregowy, choć jutro niejeden z nas zwróci się znowu, jako do czytelnika jedyne go już pisma żołnierskiego, „Żołnierza Polskiego”.

Niewielu już jest Was chyba, żołnierze, którzy pamiętacie początki naszego pisma. Było to za ciężkich czasów rządów pruskich na ziemiach naszych. Wielu, wielu z kolegów naszych nie chciało, nawet słyszeć o tem, aby w tych warunkach służyć dalej w tej t. zw. „Polskiej sile zbrojnej”, i odeszli. Innych Niemiec zatrzymał w obozach jeńców. Myśmy zostali na stanowisku, aby z zaciętymi zębami uczyć się dalej rzemiosła wojennego i zachować dla przyszłej Polski szkoły podchorążych i podoficerów, oraz te szczupłe kadry piechoty. Doczekaliśmy w ten sposób listopada 1918 r. Wówczas rola tych podchorążych i podoficerów, tych szczupłych kadr piechoty, w pierwszych pracach nad organizacją wojska polskiego — pokazała chyba dowodnie, że warto było pracować i trwać nawet w poprzednich ciężkich warunkach. Niejeden z Was pamięta chyba, czem w walkach z Czechami był pułk 7. p. Legjonowej, a w bojach z Ukraińcami pułk 8., jak je rozrywano wtedy na wszystkie strony; wiecie również, jak to pracował w pułku, jak stawał w boju podchorąży tych czasów.

Z malutkich i drobnych początków powstawała nagle wielka armja polska. Zrazu garnął się do niej licznie i ochoczo młodziutki ochotnik, ten, co to strzelać prawie nie umiał, ani rzucić granatu ręcznego, a w pierwszych bojach z Ukraińcami biegł tylko szybko naprzód ku wrogowi. Do korpusu oficerskiego napłynęła moc oficerów Polaków z korpusów kresowych, z dawnego wojska austriackiego. Zналиśmy dobrze dawniej, już za czasów niemieckich, i tych młodziutkich ochotników z P. O. W., którzy wyrosli z jednego pnia z nami, i tych oficerów z formacyj kresowych, o których pisaliśmy tyle już pod cenzurą niemiecką, a wreszcie i oficerów z wojska austriackiego, którzy w boju pod Laskami witali legjonistów słowami: „To nasi! nasi! Górą strzelcy!” Robiliśmy wtedy wszystko, aby i w naszym piśmie, podobnie jak we wspólnym szeregu, czuli się oni u siebie w domu, wśród swoich, aby skupić ich pod tem hasłem, które ożywiało Legjony. Tworzyła się wielka rzecz: Polska, do której dążyliśmy wszyscy, choć nieraz różnemi drogami. Dawne różnice, dzielące nas, zdawały się czemś bardzo małym. Gdyśmy się spotkali przy pracy wspólnej, odczuwaliśmy nieraz bardzo silnie, że i dawniej, choć dalecy na pozór, byliśmy sobie w istocie tak bliscy. I z formacjami wielkopolskimi, temi zwłaszcza pierwszemi, co to chwyciły za broń przeciw Niemcom, byliśmy w jednym obozie; śledziliśmy ich walki, staraliśmy się usilnie o związek z niemi. Nadeszły w końcu pułki błękitne Hallera, a z nimi znowu koledzy, przyjaciele dawno niewidziani, do których serc drzwi na oścież stały nam już otworem.

To dążenie do skupienia w jedną zwartą całość wszystkich części składowych wojska naszego, do ożywienia ich jednolitym duchem, było pierwszym, naczelnem dążeniem „Wiarusa”.

Droga do tego prowadziła nas poprzez jedną rzecz, która nigdy Polaków nie rozdzieli: poprzez umiłowanie przeszłości naszej, cześć dla jej chwały rycerskiej, dla tradycji bojowników o niepodległość. Na tej tradycji narodowej, na głębokim, serdecznym związku żołnierza naszego z bojownikami czasów dawnych — oprzeć chcieliśmy tradycję wojska naszego, aby nie czuło się ono zjawiskiem zbyt nowym w odrodzonej Polsce.

Drugim dążeniem „Wiarusa” było pragnienie ugruntowania w szeregach wojska naszego rzetelnego poczucia roli żołnierza. U nas łatwo było i będzie o zapał, o rozbudzenie miłości Ojczyzny; cięższej nierównie o rzetelną, sumienną pracę dnia codziennego. Tem pokonywali nas zawsze nasi sąsiedzi z zachodu. Dlatego bez ustanku, bez wytchnienia wpajaliśmy w żołnierza naszego poczucie doniosłości i wagi wszystkich tych prac codziennych, drobnych jego stanu, bez których można osiągnąć nawet duże powodzenie chwilowe, ale nie można stworzyć wojska, które będzie prawdziwym, trwałym puklerzem Ojczyzny swojej. Dlatego, mówiąc mu ciągle o tem, że jest Polakiem, sługą swego kraju, nie zapominaliśmy nigdy dodać i tego, że jest, że czuć się musi żołnierzem.

W końcu słów parę o tych, których nazwiska jedynie wymienić tu można w związku z zamknięciem „Wiarusa”: o poległych, zaginionych i zmarłych kolegach naszych.

Poległ w lipcu r. b. pod Dubienką, na tych samych polach, na których ongi walczył Kościuszko, sekretarz redakcji „Wiarusa” za czasów rządów niemieckich, major Wacław Drojowski, były oficer rosyjski, potem żołnierz Legjonów, służbiśta w szeregu, serce gorące i zapalne. „Trzeba iść, mówił, żegnając się z nami, aby dzieciom naszym zostawić wspomnienie, że coś się robiło dla Polski”. Zginął na czele młodego pułku swego, porywając żołnierzy do ataku na most na Bugu.

Znacznie wcześniej zginął major Bogusław Szul-Skjöldskrona, współpracownik „Wiarusa”. Młody harcerz, poeta, już w Legjonach zarobił sobie na opinię jednego z najlepszych oficerów „brygady żelaznej”. Wrócił z armją Hallera, przeszedłszy poprzednio przez Kaniów i Murman. Zginął na czele baonu.

Dostał się do niewoli rosyjskiej w czasie ostatniego odwrotu i zginął w niej kapitan Eugenjusz Elsenberg, stały i niezmordowany współpracownik „Wiarusa” od początku jego istnienia. Dziwak trochę, ale serce jaknajlepsze, oddane gorąco sprawie wojska naszego i rozbudzenia w armji ruchu naukowego. Jako młodziutki wychowanek korpusu kadetów w Moskwie — zjawiał on się koło r. 1908 w Krakowie i od razu sercem całem przylgął do pracy w organizacjach wojskowych. Oszczędzał na życiu, skupował książki i pracował bez wytchnienia, przygotowując się do swej roli wychowawcy w legjonowej Szkole Podchorążych. Ostatnio, przed odwrotem, wpadał co parę dni do redakcji naszej, niosąc artykuły, podając pomysły, przynosząc w darze tyle książek dla Centralnej Biblioteki Wojskowej.

Zginął również podobno w niewoli rosyjskiej podporucznik pułku 8 p. Leg., Piotr Gagatęk, stały współpracownik „Wiarusa”. Młody chłopak wiejski z okolic Tarnowa — wyrobił się w Legjonach na ciekawy typ pełnego poczucia honoru oficera polskiego. Czuć w nim było tę nieprzepartą siłę i wytrwałość wsi naszej, włożoną całem sercem w sprawę odrodzenia wojska. Niedawno brał armaty sowieckie nad Dźwiną w śmiałej nocnej wyprawie, przedstawiony za to do krzyża „Virtuti militari”.

Za czasów niemieckich zgłaszał się co parę dni do redakcji naszej młodziutki akademik warszawski, Stefan Zembruski. Przynosił artykuły historyczne, drobne notatki — i w końcu stał się niemal kolegą redakcyjnym. Jednego dnia przyszedł mocno dumny w mundurze pułku 36 piechoty na pożegnanie.... Zginął w jednej z pierwszych walk.

Z pośród świata luźniej związanego z nami — dwa nazwiska zanotować musimy w tej rubryce kolegów, których pożegnaliśmy na zawsze. Jednem jest to nazwisko p. Lucjana Osten-Sakena, ziemianina z Wielkopolski, który od początku istnienia pisma nadsyłał nam nowelki, osnute na tle życia dawnego wojska naszego. Jego gorące umiłowanie tej przeszłości żołnierskiej wiązało nas z nią organicznie, budząc zarazem rzetelny szacunek dla czcigodnego autora. Drugiem — nazwisko pika Hrynkiewicza-Moczulskiego, który jeden z pierwszych zbliżył się do nas, aby podać nam rękę do współpracy.

Niech tych nazwisk parę — pozostanie w związku z pismem, które służyło sprawie wojska naszego, jak mogło i jak umiało.

Wacław Tokarz, kpt. w r.



Być zwyciężonym i nie ulec — to zwycięstwo.

Zwyciężyć i spocząć na laurach — to klęska.

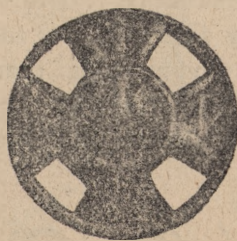
JÓZEF PIŁSUDSKI.

ŻOŁNIERZOM...

Gdy Kraj oddany na pastwę pożogom —
rycersko przenieść poniżeń męczeństwo...
być podeptanym, a nie ulec wrogom —
Oto zwycięstwo!

Ale zwyciężyć i o dawnych czynach,
o dawnem męstwie nucąc hymn zwycięski
śród upojenia usnąć na wawrzynach —
to bezmiar klęsk!

Juljan Ejsmond, por.



Odznaka I Bryg.
Legj. Polskich.

Ś. p. major Teodor Chmielowski.

Był upalny dzień letni, 21 sierpnia, gdy major Teodor Chmielowski, dowódca dywizjonu w 11 p. art. ciężkiej kresowej, kierując z wysuniętego stanowiska ogniem swoich baterji i torując nim bratniej piechocie przeprawę za Bug, legł ranny śmiertelnie kulą wrażą.

Zginął młodym, piękną rycerską śmiercią, „do której przywyknął“, której w oczy zaglądał oddawna i często. Miał za sobą lat 28 życia, a sześć lat wojny. Ruszył w pole w sierpniu 1914 r. z Legjonem wschodnim, jako szeregowiec-ochotnik. Jako wywiadowca konny w sztabie 3 p. Legjonów przy pułkowniku Hallerze, później jako oficer ordynansowy, odbył boje w Karpatach, na Bukowinie, na pograniczu Besarabji; przeszedł później do artylerji konnej Legjonów i wrócił znowu, przywołany przez swego ukochanego wodza i przyjaciela do jego boku, do sztabu 2-giej Brygady. Jego karta wojskowa Legjonowa zawarła dwadzieścia dwie bitwy, nie licząc utarczek i dwa odznaczenia obce.

Jesienią 1917 r. porucznik Chmielowski przeszedł ze sztabu ostatecznie do artylerji. W chwili przejścia korpusu gen. Hallera przez front, był we Lwowie na urlopie; odcięty od swoich, przekradł się do Warszawy. Był w Ostrowiu instruktorem w Szkole Podchorążych. Później wyjechał do Francji, do swego generała. Podziękował

za stanowisko służbowe w świetnym jego sztabie, uprosił sobie służbę linjową d-cy baterji i później otrzymał dywizjon. Żołnierz kresowy z krwi, z tradycji rodowej, z ducha, znalazł się w szeregach znakomitej artylerji kresowej i poszedł z nią na kresy śladami Arciszewskich, Przyjemskich, Kątskich. Odbył zwycięską wojnę 1919 r. o wyzwolenie Małopolski Wschodniej, już wtedy podany do krzyża „Virtuti Militari“.

Później ruszył w składzie błękitnej swej dywizji, pod dowództwem generała Hallera, odbierać Pomorze. Z wiosną 1920 był już z powrotem na kresach Wschodnich, biorąc udział w chwale ofensywy zwycięskiej, w ciężkich przejściach późniejszych i w końcowym odwecie, zawsze nieustraszony, rycerz bez trwogi i zmayı, z radością gotów umrzeć za Ojczyznę, umiłowaną nadewszystko. I było mu danem ujrzeć przed zgonem pogrom okrutnego wroga. Krzyż „Virtuti militari“ ozdobił jego trumnę.

Marzyciel i poeta, człowiek natchnienia, o głębokiem duchowem życiu, wrażliwy i uczuciowy, patrzący w przyszłość potężną siłą przeczuć, wiedziony siłą przeznaczeń po drodze, którą sercem wybierał, inteligencja bystra, żywa, wszechstronna, kolega i przyjaciel kochany, prawy, serdeczny, najlepszy syn i brat, zostawił za sobą wiele tęsknoty i miłujących wspomnień. Niech jednym z nich będzie tych słów kilka, napisanych przez towarzysza broni, który służył z nim razem dość długo w dni niedoli.

Mam dwa jego wiersze, przepisane dla mnie „na pamiątkę wesółych i smutnych dumań snutych razem“. Mówią one wiele o majorze Chmielowskim. Dziś, gdy już i jemu „błysła wstęga ognia krwawo przy głuchym trzasku salw plutonu, modlitwą żołnierskiego dzwonu“, pozostało i przy nim

to, „co zdobył kosztem siebie, co odda chyba Stwórcy w niebie, gdy mu da za to zmartwychwstanie“... To — że „był kochany i kochał“. Kochał Ojczyznę i Sławę. Kochał ludzi. Kochał swój mundur żołnierski, ten stary mundur artylerzysty, zielony z czarnym rabatem.

M. Kukiel.
Pułkownik Szt. Gen.



Ś. p. major Teodor Chmielowski.



Z utworów ś. p. Majora Chmielowskiego.

I.

SONET

NAPISANY W SIERPNIU 1917 R. W ROCZNICĘ WYMARSZU
W POLE CZĘŚCI LEGJONÓW, KTÓRE POTEM UTWORZY-
ŁY II KARPACKĄ BRYGADĘ.

Lubię na przodków patrzeć podobizny,
Twarze zakłète w te zczerniałe płótna...
I myśl mnie żadna nie nachodzi smutna,
Choć na narodu ciele — śmierć ich: blizny.

Ich karabele broniły Ojczyzny,
Korzyła myśl się dla niej, choć tak butna,
Swym miękka była dłoń, — wrogom okrutna,
Wiek długi prac ich: znaczył szron siwizny.

Probujęm oręż stary zwlec ze ściany
I nowe w dziejach wyrąbać nim karty...
Chcą ojcom w czynach dorównać
[współcześni!...

Czyż załśni oręż dawno zapomniany
I rdzą — idei ornament zatarty?...
Czyż trzeba umrzeć nam, — by ożyć
[w pieśni?...

II.

POD WRAŻENIEM POGRZEBU

AL. SULKIEWICZA, TATARA LITEWSKIEGO, SIERŻ.
I BRYGADY LEGIONÓW (1916).

— A gdy będziecie mnie chowali,
To niechaj po mnie nikt nie płacze.
Tylko wy jedni, wy trębacze...
Niech spiż się rzewnym jękiem żali...

Bo nie chcę płynąć po łez fali
W nieznany, obcy świat daleki...
Łza serca krwawi i powieki,
A wy je macie mieć ze stali!

— Tak, niechaj po mnie nikt nie płacze,
Bo już i tak każdego rana
Ta ziemia łzami rosy złana
I losy wasze, te tułacze,
Widzą ojcowie, widzą dziady
I niosąc skargi przed tron Boga
Łzy leją... Siana niemi droga,
Błyszczą na ziemi w perł mirjady...

— Zagrają trąbki długo, łzawo...
Zagrają trąbki te bojowe,
Co kiedyś brzmiały w dni godowe
Fanfar i marszów huczną wrzawą...
I błysnie wstęgą ognia krwawo
Przy głuchym trzasku salw plutonu
Modlitwą żołnierskiego dzwonu...
Żegnajcie wszyscy... — witaj sławo!...

— Nicem w grób nie wziął prócz munduru
Prócz desek. To już dar ostatni,
Dar jako uścisk twardy, bratni...
Nie będzie serce bić do wtóru
Tym, którzy życia snują przedziel...

— Ale coś przy mnie pozostanie,
Coś, co zdobyłem kosztem siebie.
Co oddam chyba Stwórcy w niebie,
Gdy mi da za to zmartwychwstanie...

Lecz, co nie pójdzie w proch z mem ciałem,
Co mi nie wydrze złodziej grobu,
Ni żadna siła ziemi globu...
Żem był kochany i kochałem...



Na punkcie obserwacyjnym.

Zadania zdemobilizowanych żołnierzy a przyszłość naszej armji.

Rozwój wypadków wielkiej wojny światowej, a szczególnie doświadczenia, poczynione w czasie dwuletniej wojny o istnienie zmartwychwstałej Polski, powinny w obecnym okresie demobilizacji armji zastanowić każdego żołnierza polskiego, a zarazem obywatela, czy armja stała jest w stanie zabezpieczyć granice Polski i obronić ją całkowicie przed obcym najazdem.

Armja w obecnym stanie niezdemobilizowanym mogłaby temu zadaniu sprostać, lecz utrzymanie jej na stałe, nigdzie na świecie, a i w naszym młodym państwie nie może być wykonane. Przedewszystkiem armja półtoramilionowa pochłania ogromne sumy pieniężne, środki wyżywienia ludzi, którzy nic nie produkują, zatrzymuje dużo taboru kolejowego wyłącznie na użytek wojska i t. p. — jednym słowem obciąża ogromnie finansowo skarb państwa. Z drugiej zaś strony armja stała tak liczna zatrzymałaby w szeregach różnych specjalistów, bez których nie mógłby być uruchomiony przemysł, rolnictwo straciłoby bezpowrotnie wielką ilość pracowników rolnych, a zarazem koni i wozów.

Jeżeli przytem weźmie się pod uwagę, że do wojska wchodzi ludzie młodzi, najzdrowsi, to możemy łatwo przewidzieć, że tak duża armja stała nie mogłaby być utrzymana bez szkody dla rozwoju naszego państwa.

Demobilizacja zatem żołnierzy jest taką samą koniecznością, jak i mobilizacja, gdy chodzi o obronę państwa od obcego najazdu.

Wszystkie te konieczne powody, które zmuszają armję na stopie wojennej do demobilizacji, jednocześnie wpływają na ogromne zmniejszenie stanu liczebnego armji stałej. Armja zatem stała nieliczna, zmniejszona do czwartej lub szóstej części armji w stanie wojennym, nie jest w stanie zabezpieczyć istnienia państwa na wypadek wojny.

Państwo na wypadek wojny zabezpieczało się w ten sposób, że, przez kolejny pobór roczników w wieku poborowym, a następnie przez wyszkolenie i ćwiczenia uzupełniające dla dawnych żołnierzy, po odbyciu służby pozostających w rezerwie, przygotowywało uzupełnienia w celu szybkiego przejścia armji ze stopy pokojowej na stopę wojenną

NOC WIGILIJNA. (IV)

(Dokończenie).

W okopie pospolitaków zapanowało ciche życie. Nie mówiąc ani słowa ludzie wynurzyli się ze swych kryjówek i oto teraz cała kompanja wspięła się na ławę i patrzy. Milczenie panuje zupełnie; wszyscy jak gdyby zmieszani, jakby zazdrościli tego, co się dzieje tam naprzeciwko A — jak gdyby na dane hasło, na całej linii okopów niemieckich, odzywają się nowe pieśni, jedne w odpowiedzi drugim. Tuż blisko nas, w samych okopach, zdala, w około oświetlonych choinek, na prawo, na lewo, wszędzie — dźwięczy śpiew, a tony jego dochodzą do nas złagodzone przez odległość. Jakież wzruszające, podniosły zespół tworzą te religijne pienia unoszące się nad bezbrzeżnym polem śmierci! Domyślamy się, że wszystko to musiało być zdawna obmyślane i postanowione, by obchód Bożego Narodzenia odbył się nabożnie, w ciszy i spokoju.

Gdyby to był inny dzień, ileż złośliwych żartów, ile wyzwisk rzuconoby pod adresem śpiewaków! Dziś wszystko inaczej. Widzę u naszych wszystkich zuchów jakby cień żalu, że oni nie uczestniczą w podobnym obchodzie. Czyż to nie wilja Bożego Narodzenia? Czyż pełniąc swą powinność nie pozbawiliśmy się tej słodkiej uroczystości rodzinnej, która rok po roku skupiała nas wkoło symbolicznego drzewka? Nasze matki, siostry, dzieci — czyż

w tym roku bez nas nie święcą tego starodawnego, pobożnego obyczaju? Dlaczegoż ta wielka rodzina nasza dzisiejsza nie śpiewa wkoło oświetlonej choinki? Pospolitacy nie mówią tego, ale myśl ich krąży nad nieprzyjacielskim okopem i wszystkich nas przejmuje jakiś żal, który się zlewa w jeden ogólny nastrój smutku.

Zwolna milkną śpiewy i absolutna cisza zapada nad polem.

.....

Odprowadzam G. do jego posterunku. Od 11-ej do 2-giej ma znowu pełnić służbę. Posterunek ten stanowi rodzaj blokhauzu zbudowanego mocno, mającego po bokach dwie kazamaty, w których mieszczą się karabiny maszynowe, stale wymierzone w kierunku nieprzyjacielskich okopów. Czuwa przy nich stale żołnierz z oddziału K. M., aby mógł każdej chwili zaalarmować resztę obsługi. Odpoczywa ona tymczasem w rodzaju piwnicy wydrążonej tuż obok i na dany znak gotowa jest natychmiast wprawić w ruch okrutne narzędzia śmierci. — W środku blokhauzu urządzono rodzaj schroniska wysłanego workami ziemi. Oficer służbowy może przez strzelnicę obserwować cały powierzony nam odcinek. Aparat telefoniczny, umieszczony tuż obok, pozwala mu komunikować się każdej chwili z komendantem odcinka w hucie szklanej.

G. — przydział się w kozią skórę, której mu użycza po bratersku oficer, pełniący służbę przed

Jednakże przebieg długotrwałej wojny wszechświatowej obalił tę zasadę, gdyż państwa zmuszone były do zaciągnięcia obywateli do szeregów i z tych kategorii, które od służby w wojsku były zwolnione na zasadzie różnych ulg, a następnie nawet z kategorii całkowicie zwolnionych od wojska.

Dawna ocena niezdolności do służby wojskowej całkowicie upadła, gdyż w wojsku znaleźli się nawet ułomni z małymi wadami (krótkowzroczni, bez palców u lewej ręki i t. p.)

Ogromny rozwój urządzeń tyłowych, zabezpieczających wyżywienie milionowych armij, ewakuację rannych i leczenie chorych, spowodował przyłączenie do tych służb i kobiet, które w naszych warunkach tworzyły ochotnicze oddziały (Lwów, Wilno) do walki z najeźdźcą.

Jeżeli sięgniemy dalej w przebieg toczącej się wojny i obliczymy te masy pocisków, prowantu i furażu, dostarczanych codziennie na front, zrozumimy z łatwością zarządzenia poszczególnych państw, zmierzające do przystosowania całego życia kraju (a więc biegu czynności w fabrykach i instytucjach) do potrzeb toczącej się wojny, oraz zmusza-

nie ogółu obywateli, a więc dzieci, kobiet i starców, do pracy wyłącznie na zaspokojenie tych naglących potrzeb.

Widzimy zatem, że wojna z fachowej, obejmującej tylko obywateli, przygotowanych wojskowo w czasie pokoju, objęła ogół obywateli kraju, czyli stała się powszechną, ogólno-narodową.

Przejdziemy obecnie do naszych warunków. Armia polska powstała z wysiłku zbiorowego formujących się wszędzie, gdzie to było możliwe, formacji polskich (legjony Piłsudskiego, formacje wschodnie w Rosji, armja gen. Hallera we Francji), które od początku swojego istnienia, walcząc ciągle o byt, organizowały się i rozwijały. W czasie dwuletniej walki o egzystencję państwa zjednoczyły się one w jedną armję polską, pod jednym naczelnym dowództwem. Jakkolwiek dawne formacje przestały istnieć, to jednakże dawne wykształcenia wojskowe, otrzymane na różny sposób, zależnie od poprzedniej służby, w sposób ujemny odbijały się na jednolitości naszej armji.

Obecnie jesteśmy już w tych szczęśliwych warunkach, że — po dwuletniem doświadczeniu bojowym — różnice te w znacznym stopniu się zatarły,

nim. Jestto podporucznik pospolitego ruszenia; wydaje się zupełnie zmarznięty.

— Patrz, kolego, zostawiam ci kozia skórę, którą dowództwo od wczoraj oddało do rozporządzenia oficera służbowego. Chciałbym ją panu dać dobrze ogrzaną przez siebie, ale ja sam jestem zlodowaciały.

G... chętnie korzysta. Pożegnawszy go życzeniem i słowami otuchy, spieszę do mej ziemianki, gdyż i mnie pod płaszczem zimno ogarnia. Wierny WattreLOT zrobił, co się dało, by nasz piecyk nie wystygł. Idąc za przykładem G., umieszczam się również na dwóch krzesłach z nogami wyciągniętymi w stronę ognia. Potroszę robi mi się coraz cieplej, a równocześnie powraca smutna zaduma. — Dziwna noc wigilijna! Zaiste nigdy nie spędzałem gwiazdkowego wieczoru w podobnym lokalu. Ściany stanowi szara zmarznięta ziemia, na której znać jeszcze każde uderzenie łopaty, która wykopała tę jamę. Umeblowanie proste i niezbyt wytworne. W głębi łóżko, złożone z kilku snopów słomy, wygniecionej już przez wielu gości, co tu nocowali. Deski wbite w ziemię stanowią brzegi tego skromnego legowiska. Przy ścianie przeciwległej do pieca stoi stół. Ten stół, który musi służyć do pisania, jedzenia, może do gry, wogóle zmuszony pełnić wszystkie role, do jakich używane są rozmaitego rodzaju stoły w każdym umeblowanym mieszkaniu, tutaj jest stolikiem nocnym. Kto go tu przyniósł

i czemu tak dziwny uczyniono wybór? Niewiadomo. A jednak, taki, jak jest, niezłe oddaje usługi. Jedliśmy przy nim obiad dość wygodnie, a w tej chwili pisałem na nim raporty. Dwa krzesła, piecyk, łóżko i kilka gwoździ zamiast wieszaka razem z tym stołem stanowią całe urządzenie tego mieszkania, w którym dumam samotnie w tę noc grudniową. Świeca zatknięta w butelkę migoce, rysując na ścianach chwiejne, rozwiewne cienie.

Godzina samotności i ciszy jest zarazem godziną skupienia, często i smutku. Dziś szare myśli unoszą się w zadymionej ziemiance, wirują w koło mnie, napastują głowę moją i nie mogę się im opędzić. Jest to jedna z chwil rzadkich, bardzo przełotnych — gdy człowiek słabnie i mimo woli doznaje pewnej gorzkiej rozkoszy, pogrążając się w zniechęceniu. — Myślę o tem, że oto minęły długie miesiące, jak nie widziałem nikogo z mych bliskich, i stałe mi przed oczami wigilja, którą oni w tej chwili obchodzą na drugim krańcu Francji. A moi drodzy przyjaciele, których zostawiłem w Rouen lub Paryżu, gdzież oni są teraz? Co robią? Czy myślą o mnie? Jakżeż bym pragnął posiadać ten cudowny dar, o którym piszą bajki z „Tysiąca i jednej nocy“, ażeby z tej odległości widzieć w tej chwili moich ukochanych, zgromadzonych w koło domowego ogniska i słyszeć, jak rozmawiają o mnie.

Myślę także, że wojna obecna była dla nas piękną pójty, póki walczyliśmy jako jazda, pędząc

armja przyjmuje jednolity wygląd zewnętrzny i system wyszkolenia.

Ten wielki dorobek wojenny, jaki zdobyła sobie Polska krwią najlepszych swoich obywateli, nie może być zmarnowany przez demobilizację i zmniejszenie stanu liczebnego armji.

Raczej redukcja armji do stanu pokojowego pójdzie w kierunku pogłębiania doświadczeń zdobytych, przez podniesienie poziomu naukowego oficerów, wyszkolenie kadr, ujednostajnienie materiału wojennego i t. p.

Mam to głębokie przekonanie, że czasu poko-



„Karnawał w koszarach“.

rys. S. Zalewski.

konno po równinach, przeszukując lasy, galopując przed piechotą i przynosząc jej wskazówki, jak ma skierować swe uderzenia, lub ostrzeżenia, jak nieprzyjacielskich ciosów unikać; gdy goniliśmy pruską jazdę, a ona pierzchała przed nami. Ale ta walka okopowa! Ta wojna, w której dzień po dniu tkwić trzeba na miejscu, gdy zdobywa się teren metr za metrem, gdzie podstęp walczy z podstępem, gdzie każdy czepia się zdobytego kawalka ziemi, ryje go, zakopuje się w nim, by raczej umrzeć niż ustąpić! Cóż to za wojna dla kawalerzysty! Toć oddajemy się jej całą duszą, a dowódcy, którzy mieli nas pod swemi rozkazami, oddawali nam same pochwały. Chwilami jednak czujemy się bardzo znużeni, a w bezczynności i samotności wyobrażenia bujać zaczynają.

W myśli naszej odżywa wspomnienie chwil, gdy cały pułk puszczał się galopem przez pola, słyszemy brzęk szabel i łańcuszków, widzimy błyski kling, pstry korowód koni, w oczach naszych rysują się sylwetki dowódców, konno na wierzchowcach bojowych. Dziś myśl moja, podniecona więcej niż kiedykolwiek, wymyka się, unosi, przebiega wszystkie niezapomniane przeżycia tej wojny: Charleroi, Guise, Marne, obronę mostu w Jaulgonne, Montmirail, Reims — Belgję, Bixschoote, i opada w końcu do tej mrocznej ziemianki, w której tylko chwiejny, migotliwy płomień świeczki rysuje na ścianach niepokojące cienie.

Naraz zimny pęd powietrza wtargnął do mego schroniska. Drzwi otwarto nagle; na najwyższym stopniu stoi jakiś człowiek i woła do mnie półgłosem z głębi rowu:

— Panie poruczniku, proszę zobaczyć, co się dzieje....

Jednym skokiem wrywam się z mej kryjówki i wchodzę po stopniach.

— Proszę posłuchać, panie poruczniku.

Widać było mi przeznaczonem, bym w ciągu dzisiejszej nocy wpadał ze zdziwienia w zdziwienie, a obecnie przechodzi wszystko, czego mogłem oczekiwać. Chciałbym dokładnie oddać dziwne wzruszenie, jakiego doznałem, ale trzeba było być tam zenną tej nocy, by je odczuć w całej pełni. Na tej rozległej, uśpionej równinie, gdzie poza tem ani szmeru nie słychać, rozlega się zdala głos, którego akcent chwyta uchem mimo odległości. Cóż za nieporównana chwila! Słyszając ten śpiew wśród niekończoności nocy, doznajemy wzruszenia, serca nasze biją więcej niż na najpiękniejszym koncercie znakomitych artystów.

Znowuż jakiś nieznanym hymn płynie ku nam z lewej strony od najdalszych okopów niemieckich. Łatwo poznać, że człowiek jakiś śpiewa stojąc nad brzegiem okopów, że idzie wciąż zbliżając się ku nam wzdłuż pozycji nieprzyjaciela, gdyż głos jego stopniowo zbliża się i staje się coraz donośniejszym.



SZEF MISJI WOJSKOWEJ, GEN. NIESSEL, DEKORUJE WACHMISTRZA WÓJ-
CICKIEGO FRANCUSKIM MEDALEM WOJSKOWYM ZA URATOWANIE ŻYCIA
JEDNEGO Z WYŻSZYCH OFICERÓW FRANCUSKICH NA FRONCIE BOLSZEW.

Zatrzymuje się co chwila, a wtedy setki głosów odpowiadają mu chórem kilka słów, stanowiących powtarzającą się wciąż zwrotkę hymnu. I znowu solista śpiewa zbliżając się ku nam. Skąd on idzie? Widocznie z daleka, gdyż nasi strzelcy słuchali go już długo, nim postanowili mnie zawołać. Któż to taki być może, komu polecono obejść z modlitwą cały front bojowy i kogo każda kompania niemiecka oczekuje, by wraz z nim odmawiać pacierze? Widocznie jakiś pastor przyszedł przypomnieć walczącym, jak świętą jest noc dzisiejsza i ile powagi ma obecna chwila.

Teraz dochodzi nas głos z okopów będących tuż przed nami. Choć noc jest jasna, wzrok nasz nie dostrzega śpiewaka, gdyż w tym miejscu linie są od siebie oddalone na jakieś 400 metrów co najmniej. Niewątpliwie jednak nie ukrywa się on, gdyż głos jego nie dochodziłby do nas tak dźwięczny, czysty, donośny, gdyby śpiewał w głębi okopu. Znowu milknie, a wtedy — nasi bezpośredni przeciwnicy, żołnierze z przeciwka, ludzie, których mamy mordować, skoro się tylko ukażą, i którzy mają rozkaz strzelać do nas, skoro my się pokażemy, z całym spokojem podejmują zwrotkę hymnu o słowach podniosłych, tajemniczych, łagodnych. I oni również musieli się wychylić ze swych rowów i śpiewają z twarzą ku nam zwróconą, gdyż inaczej nie słysze-libyśmy ich tak wyraźnie.

Oglądam się na naszą linię. Wszyscy nasi lu-

dzie obudzili się i wstali. Wszyscy wdrapali się na stopień ubitej ziemi, niektórzy nawet wyszli z okopów i są w otwartym polu, wyżej słuch w kierunku niespodziewanego koncertu. Nikt się nie złości i nie szydzi. Zdaje mi się raczej, że na twarzach tych, którzy są bliżej mnie, odkrywam jakiś wyraz żalu. — A jednak, jakże łatwo byłoby przerwać tę scenę: jedna zwykła salwa naszej pół kompanii starczyłaby na to, by wszystko umilkło i zapadła cisza taka, jak innych nocy. Ale nikomu to nie przychodzi do głowy. Niema wśród naszych strzelców ani jednego, któryby nie odczuł, że świętokradztwem byłoby strzelać do modlących się żołnierzy. Wszyscy rozumiemy, że w pewnych chwilach wolno nam zapomnieć, że przyszliśmy tu na to, by zabijać. To nam wcale nie przeszkodzi w następnej chwili spełnić wiernie naszą powinność.—

Głos oddala się; łagodnie, poważnie odpływa ku okopom położonym na pozycji przezwanej „Kawalerów C.” gdzie dwie linie zbliżają się do siebie na odległość 50 metrów. O ileż tam bardziej wzruszającym musi być to samo widowisko! Żałuję, że nie tam jest mój posterunek, gdyż chciałbym zbliżyć się patrzeć na tę scenę, słyszeć słowa, zobaczyć sylwetkę pastora posuwającą się wzdłuż strzelnic — wydrążonych na to, by pluły śmiertelnymi pociskami, — jego postać błogosławiącą tych, co jutro już może nie będą na świecie.

Pafi Nagle padł strzał.

ju nie zmarnujemy i że w każdej chwili armja nasza będzie przygotowana do spełnienia czekających ją zadań.

Jednakże to nie wystarczy. Do nowej wojny musi być przygotowany cały naród polski. Tylko wysiłek ogólny wszystkich obywateli może uratować państwo od klęski. Przebieg kampanji letniej daje nam dokładny przykład, że wszyscy bez wyjątku do udziału w walce rozstrzygającej muszą być przygotowani. A ilu zginęło dzielnych młodzieńców przez to, że elementarnego przygotowania do walki nie mieli! Sam byłem świadkiem, jak już na polu walki pytali się nowoprzybyli ochotnicy, jak się broń nabija.¹⁾

Co dzisiaj wydaje nam się niemożliwym, może być możliwe jutro. Nasze państwo nie ma granic naturalnych, będzie więc musiało ogólnym wysiłkiem odierać każdą napaść z tej lub innej strony.

Do udziału, na wypadek takiej akcji, muszą być przygotowani wszyscy obywatele.

Plan pokojowy armji naszej nie pozwoli na wyszkolenie wszystkich mężczyzn w kraju. Należy uciec

¹⁾ Bitwa pod Ossowem — Leśniakowizną pod Warszawą dnia 14/VIII 1920 r.

się do sposobu już u nas praktykowanego przed wojną, a mianowicie: do zakładania organizacji strzeleckich, skautowych i sokolich.

Z chwilą powrotu żołnierzy zdemobilizowanych do swoich miejsc rodzinnych, stowarzyszenia te powinny stać się dalszym ciągiem ich służby obywatelskiej i wojskowej:—obywatelskiej, gdyż winny uświadamiać ogół obywateli o potrzebie spełnienia obowiązku i poświęcenia się służbie dla Ojczyzny—wojskowej, gdyż członkowie ich winni stać się instruktorami w wyszkoleniu dzięki nabytemu doświadczeniu wojskowemu.

Tak pojęta służba każdego zdemobilizowanego żołnierza przyczyni się do podniesienia świadomości państwowej, z drugiej strony przygotowuje nowe pokolenie na dobrych żołnierzy.

Obowiązkiem zatem zdemobilizowanych żołnierzy będzie wejść do towarzystw już istniejących lub założyć nowe, ażeby tej potrzebie w swej okolicy uczynić zadość.

Gdy Ojczyzna znów nas powoła w potrzebie, stawimy się wtedy wszyscy, świadomi, jak walczyć należy.

Henryk Bagiński (Józef Chłopski), podpułkownik.

Achl głupia kula! przeszła powietrze i może w cel trafiła. Odrazu ucichło wszystko. Ani krzyku, ani przekleństwa, ani skarg! Komuś tam wydało się, że strzelając do tego człowieka, dobrze zrobi. Szkoda! Cóż nam z tego przyjdzie, że im przeszkodzimy święcić Boże Narodzenie na swój sposób, a przecież szlachetniej byłoby zachować kule na inną okazję. Wiem ja dobrze, że na naszym miejscu „barbarzyńcy“ może nie zawahaliby się, że niejeden z naszych księży padł pod ich kulami, więc nie mają nam czego wyrzucać. Są i tacy, co mówią, że powinniśmy naszą nienawiścią objąć bez różnicy wszystko, co tylko jest niemieckie, że powinniśmy tępić wszystko, co nosi tę nazwę, nie szczędzić nienawistnej rasy, której dziś zawdzięczamy tyle łez, tyle krwi, tyle żaloby. Wszystko jedno. Tym razem jednak sędzę, że lepiej było nie strzelać.

7. godzina rano. — Wychodzę z mej kryjówek, gdyż niedaleko od nas, na lewo, padł strzał. Zdziwił mnie on po zupełnej ciszy tej nocy. Słońce jest cudowne. Oblewa blaskiem opustoszałą równinę, pola, wzgórza i okaleczoną wioskę. W dali, na wschodzie, wieże katedry w R. dumnie strzelają na tle wyłoczonego nieba. Widzę, że wszyscy nasi strzelcy wdrapali się na wał ziemny i z zajęciem przyglądają się jakiemuś widowisku, które się odbywa przed okopami zajętemi po naszej lewej stronie przez pospolitaków.

Staję obok jednego z nich, a on tłumaczy mi, co się dzieje. —

— Panie poruczniku, nasze piechury zabiły zającą, który biegł między naszymi linjami, a teraz poszli po niego.

Istotnie dostrzegam dość osobliwą scenę: dwaj ludzie w białym dzień wyszli z okopów i idą krokiem niepewnym w kierunku nieprzyjacielskiej linii. Za nimi setki głów sterczących z ponad strzelnic i worów ziemi z zaciekawieniem śledzi ich kroki. Kilku żołnierzy wynurzyło się nawet całkowicie z rowu i usiadło na kopcu ziemi. Zaprawdę, nie spodziewałem się takiego widoku. Cóż tedy robi kapitan tej kompanji, która jest w okopie? Zdziwienie moje przechodzi w osłupienie, gdy widzę, że okopy nieprzyjacielskie zaroily się setkami postaci ludzkich. Natychmiast posyłam G. i podoficera, by naszym strzelcom wydali rozkaz:

— Niech nikt się nie pokazuje. Wszyscy na swoje posterunki bojowe... Karabiny nabite w strzelnicach.

Naprzeciw nas Niemcy, widząc, że linię naszą zalega cisza i nikogo nie widać, zachowują się nieufnie. I oni również pewno czatują przy strzelnicach. Jednakże na całej reszcie frontu wciąż przybywa ludzi, którzy wynurzyli się z okopów. Są bez broni, mają ruchy wesole i przyjazne. Zaczynam się niepokoić. Na czym się skończy ta osobliwa komedja? Czy to ja mam kazać strzelać do tych

Demobilizacja.

Żołnierzu, — już zwalniam cię,
Puszczają cię do domu —
Ale ty cicho sprawiasz się:
Jedź, jakby pokryjomu...

Manatki swoje cicho wiąż,
Nie gadaj nigdzie o tem,
Bo pełno wrogów wkoło wciąż,
Choć legło dość pokotem.

Niech nie wie wróg, że spocząć masz,
Że front nasz pustoszeje,
Bo wtedy on podwoi straż
I zbudzi swe nadzieje...

* * *

Żołnierzu, — odpoczynek twój
To pokój na bagnecie,
Bo zawsze napaść może zbój
Na dom twój i na dziecię.

Pamiętaj, żeś Ojczyzny syn,
Że wskrzeszasz ją nanowo,
Jak z bronzu swój wykuwasz czyn
Aż w ciało zmienisz słowo.

Do domu jedziesz! Luba twa
Cię piersią swą ogrzeje,
I bojowego swego lwa
Zapyta, co się dzieje?...

* * *

Ty u kominka powiesz tam,
Jak szalał bój zażarty;
Jak się zmagalesz z trzema sam,
Jak im pomagał czwarty.

A kiedy dojdiesz do tych słów:
„Wyprułem im bebechy“,
To własnym uchem pilnie łów,
Te szybkie jej oddechy.

ludzi, choć nie znajdują się nawprost mnie, a ich bezpośredni przeciwnicy mają raczej ochotę świętować Boże Narodzenie?

Dwaj nasi piechurzy dotarli tam, gdzie padł zając, mniej więcej na pół drogi między naszą a niemiecką linią. Jeden z nich nachyla się, podnosi swą zdobycz i dumnie pokazuje w powietrzu żołnierzom z przeciwka. Zaraz też stamtąd rozlegają się oklaski i wołania: „Kamrates! Kamrates!“.

Coraz gorzej! Widzę dwóch Prusaków bez broni, którzy wyszedłszy z okopów idą z rękami do góry ku dwom Francuzom. Udaję się do G. po radę: Czy strzelać? Wyznaję, że byłoby mi bardzo niemiło wydać rozkaz strzelania do tych bezbroniowych ludzi. Z drugiej strony czyż możemy tolerować jakiekolwiek zbliżenie między ludźmi tego barbarzyńskiego narodu, który najechał naszą ziemię, a naszymi dzielnymi towarzyszami broni, którzy codziennie krew przelewają, by ją odzyskać?

Na szczęście wybawił mnie z kłopotu oficer dowodzący artylerią w Saint-Thierry, który widocznie przez lunetę śledził całą tę scenę.

Buch! Buch! Buch! Buch!

Ponad naszymi głowami przelatują ze świstem trzy pociski i pękają z podziwu godną dokładnością na dwieście metrów przed okopami niemieckimi. Zdaje się, jakoby w ten delikatny sposób ręka, która cisnęła te białe obłoczki w równych od-

stępach jeden za drugim, chciała wytknąć granicę której nieprzyjacieli nie ma prawa przekraczać. Niemcy zrozumieli to uprzejme ostrzeżenie. — Z okrzykiem oburzenia i wściekłości pędzą z powrotem do swych kryjówek, a za ich przykładem nasi Francuzi też samo czynią.

I jakby oficer artylerii chciał wykazać roztropnie dobrą wolę w tem, co uczynił, skoro tylko ostatnie pikielhauby zniknęły, ponownie daje się słyszeć świst i buch! buch! buch! buch!, cztery pociski padają na białawą linię, którą margiel okopów kreśli przez zieloną płaszczyznę pola. W kłębach dymu widać ziemię i przeróżne szczątki wyrzucone w powietrze. Nasi strzelcy krzyczą: brawo! Każdy czuje, że nie można było lepiej postąpić i każdy rad, że przelotna przerwa świąteczna w ten sposób się skończyła.

A teraz myślimy o tem tylko, by w towarzystwie naszych kawalerzystów radować się wielkiem świętem dzisiejszem. Nocą przywieziono w pięknych koszykach dobrze opakowane butelki szampa, które major B. postanowił uczęstować swych ludzi. Niebawem, gdy zupa będzie gotową, na uczenie Bożego Narodzenia wystrzelimy korki tych butelek w kierunku niemieckich okopów.

Nasi młodzi towarzysze już teraz cieszą się na myśl tej pokojowej salwy, którą zapewne słyszeć będą tam — naprzeciwnko.



O bohaterskiej sławie twej
I ona niech posłucha —
Ty u zdrowego serca jej
Zaczerpniesz sił i ducha

* * *

Lecz każdej chwili gotów bądź
Na rozkaz do apelu:
Gdy przyjdzie czas, to w pociąg siądź
I jazda tam, gdzie wielu!

Front litewsko-białoruski. 20/I. 21 r.

Gdzie twoi cię czekają już,
Byś wspomógł znów ich siły,
By ich zbójecki wroga nóż
Nie wepchnął do mogiły...

Jazda — gdzie czeka trud i znój,
Gdzie krwawo walczą twoi!
Sam nawet odpoczynek twój
Oznacza: „czuwać w zbroi“!

Edward Krąkowski, kpt.



Odznaka Związku Wojskowych
Polaków okręgu Odeskiego.

OSTATNIA GAWĘDA.

Piszę ostatnią gawędę „Wiarusowi“ na pożegnanie.

Bo nie godzi się przecież rozstawać ze starym kolegą, nie powiedziawszy mu raz ostatni szczerze, poprostu: „Bywaj, stary“. Nie godzi się rozstawać, nie przegawędziwszy ostatnich godzin przed rozstaniem. Tak się żegnają zawsze bliscy. „Wiarus“ stał mi się bliskim, ponieważ związała nas wspólna służba. „Wiarus“ także służył w wojsku. Tedy chcę przegawędzić z „Wiarusem“ ostatnie godziny na pożegnanie.

„Wiarus“ się demobilizuje. Przyszedł i dla niego rozkaz zwalnający. „Wiarus“ (wiadomo-służbista) strzelił obcasami i ostatnim zeszytem wymeldowuje się w M. S. Wojsk. Spełniając raz ostatni swą żołnierską powinność, zamelduje „Wiarus“, co zrobił w ciągu swej służby. Napiszę właśnie o tym ostatnim meldunku.

Różną przynosił „Wiarus“ treść, zarówno wie-rze, jak i młodym „bażantom“. Były tam wiadomości fachowe. Były opowiadania, mówiące, jak dawniej bywało w wojsku, mówiące żołnierzowi o dziejach wojen, stoczonych przez żołnierza polskiego w ciągu długich wieków — i wiele innych rzeczy. W tej ostatniej gawędzie chcę napisać słów kilka właśnie o gawędzie żołnierskiej, jako że nie-raz gawędziłem z wami na kartach „Wiarusa“. O gawędzie napiszę i o tem wszystkim, co przedstawia w prostych słowach piękno i wartość żołnierskiej

służby. Piosenka żołnierska i żołnierska gawęda przedstawiają życie żołnierza tak, jakim ono jest w istocie i przez swą prostotę właśnie wydobywają jego istotne piękno i wartość. Nic w nich nie jest wymysłem. Mówią nam one, jak odczuwa wojnę i wszystkie przejawy wojskowej służby żołnierz, jak on się patrzy na swoją przeszłość żołnierską.

Nie myślę udowadniać tego żadnemi uczonymi wywodami.

Słyszałem zarzuty, że gawęda żołnierska nie jest dostępna dla wszystkich, że jej nie zrozumie każdy najprostszy nawet żołnierz. Ja jestem wręcz przeciwnego zdania.

Kto przeszedł sam koleje żołnierskiego żywota, ten, jeśli rozumem nie pojął, to odczuł treść tego życia. Dla niego oczywiste się stało to, co zwykły czytelnik osądzi wymyślonem i dla żołnierza niedostępnem. Kto przeżył sam kolejno uczucia, których doznaje żołnierz od pierwszego dnia pobytu w koszarach, ten się nie będzie dziwił, że przedmioty proste, zwykłe, stają się symbolami. Kto zaś przeszedł praktykę bitewną, kogo uczyło „pole“ żołnierki, ten już napewno zrozumiał i odczuł treść żołnierskiej służby. Wtedy zaczął kochać swój zawód.

Służba żołnierska jest szara, jest ciężka, niesie trudy, niesie dolegliwości. Wojna je potęguje, stawia w obliczu niebezpieczeństw, przynosi przeżycia tak trudne nieraz, że w chwili, gdy się dzieją, pragnie się, by ich nie było.

Gdy minęły, gdy się na swoją służbę patrzymy wstecz, wspomnienia nam na myśl przywodzą już nie grozę niebezpieczeństw, już nie trud gorzki, przykry, niezmiernie dolegliwy.—Innem echem są wspomnienia dumne, wypadki dobrze zapamiętane dlatego, że były wyrazem najlepszych właściwości służby wojskowej, lub że zawierały najlepsze cechy, które wyrabia pole.

Wspomnienia otwierają nam szeroko oczy. Spostrzegamy wtedy to, czegośmy nieraz szukali.

„W czym tkwi wartość mojej służby?“ zastanawia się nieraz rekrut, szorując schody lub obierając kartofle w kuchni kompanijnej. I biedzi się niejeden nad tem, gdzie są te wysokie cele służby żołnierskiej; szuka wielkich hasel, które nieraz słyszał. Bo nawet ten mundur, który ma go zdobić, nie udał się przy fasunku. Źle skrojony, a dopasowany — pozał się Boże! Ładna służba, kiedy człowiek głoduje nieraz, a od zmęczenia kości bokiem wylażą.

Szukasz daleko od siebie tego, co jest tuż.



ARCYB. DALBOR, WOJEW. POMORSKI BREJSKI, GEN. HALLER I GEN. ROZWADOWSKI PODCZAS UROCZYSTOŚCI POŚWIĘCENIA KAMIENIA WĘGIELNEGO POD „OBELISK WOLNOŚCI“ W TORUNIU W DNIU 18 STYCZNIA 1921 R.

Od pierwszych dni służby szukamy wszyscy świadomie, albo częściej nieświadomie, celu swej służby. Szukamy wartości, o których nieraz słyszeliśmy.

Słyszysz się codzień różne zdania o wojsku. Słyszysz się wiele zdań nieprzychylnych: że wojsko zużywa bezcelowo siły młodzieży w kwiecie wieku, że się przygotowuje ludzi do wzajemnego zabijania. Szukamy tedy pośród naszych codziennych czynności tego, co ma nam przynieść zadowolenie.

Przedmioty codziennie spotykane, codzienne czynności, są przecież tak zwykłe: musztra, ćwiczenia, mundur, karabin, kapral dzienny, drużynowy.

Zastanawiasz się długo, aż pewnego dnia powie ci to nagły błysk odczucia i zrozumienia. Poznasz, że wartość służby tkwi właśnie w tych prostych, codziennych czynnościach. Obudzi się w tobie dusza żołnierska.

Potem przychodzi „pole“. Przeżycia biegają szybko, nieraz zawrotnie. Spełniasz, co każą i nie masz zwykle czasu rozmyślać dużo. A gdy czasem zaczniesz zastanawiać się, to także chciałbyś ujrzeć cel twych trudów. Bardzo często nasuwa ci się przed oczy różnica między twym życiem, pełnem niebezpieczeństw i niepewnem jutra, a między życiem tych, za których i dla których głowy nadstawiasz.

Nieraz poczujesz się jakimś opuszczonym, pozbawionym nawet tego uznania, które ci się należy. I znów dopiero zniecała nagle myśl ci powie, że w tem właśnie tkwi piękno twojej służby, że to właśnie przez poświęcenie, przez oderwanie się od bliskich, przez te codzienne niewygody staje się ono pięknem.

Przywiązujesz się, poprostu kochasz najbardziej te przeżycia, które były najcięższe. Każdy krótki wyraz z wojskowego słownika nabiera treści. Posłyszysz słowo: „marsz”, a w myśli masz marsze letnie w splekocie po piachu ciężkim, albo przemykiwanie się przez bagna, albo dalekie obchodzenie górskimi przełęczami. Powie ktoś: „atak”, a ty już pamięcią przechodzisz wszystkie odbyte potrzeby. Piszą krótko w raporcie: „żołnierz X poległ”, a ty już widzisz wiarę kolegów, jak idą ciąć białe brzoźki, by krzyż postawić i przystojnie ogrozić mogiłę.

Ale nie każdy może i umie zastanowić się nad

tem życiem. A przecież trzeba, by zrozumiał jego treść. Musi mu ktoś przypomnieć to, co w jego krwi pulsuje podświadomie.

To wszystko opowiada żołnierska gawęda.

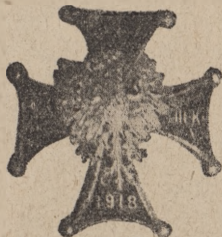
To wszystko zawiera żołnierska piosenka.

Trzeba, aby przypominały żołnierzom, a mówiły wszystkim.

Przez długie lata niewoli odczylił się odczuwać, co jest święte i wielkie. Nie odczuwa się ofiar, bo się z nimi otrząskano. Nie ocenia się zasługi rzeczywistej, nie oddaje się należnej czci tym, którzy na nią zasługują.

Gawęda żołnierska i żołnierska piosenka przekazują w prostych słowach rzeczy wielkie, przedstawiają to, co musi wytworzyć w sobie i zachować mimo wszystkie przeciwności żołnierz, i co czyni go dobrym żołnierzem.

M. Porwit
major piechoty.



Odznaka Lekkiej Brygady
III Korpusu (1917—1919 r.)

W ZARANIU LEGJONÓW.

(Z OPOWIADAŃ GENERAŁA).

Z ruchem wojskowym w Galicji zetknąłem się na dwa lata przed wojną. Zgłosił się do mnie mianowicie „Sokół” krakowski z prośbą o poprowadzenie wykładów teoretyczno-wojskowych. Odbywać się one miały w godzinach wieczornych, aby mogli na nie uczęszczać ludzie, zajęci zawodem dzień cały. Zbierała się na nie przeważnie starsza młodzież gimnazjalna, należąca do skauta, ale sporo było i młodzieży inteligentnej, zawodowej. Od czasu do czasu przychodzili i starsi, profesorowie Uniwersytetu nawet; przeważały jednak zawsze jedne i te same twarze młodzieży. Spotkałem później tylu tych słuchaczy moich w Legjonach, a dziś niejednego widzę przy pracy odpowiedzialnej i poważnej w wojsku naszym. Zacząłem od rzeczy elementarnych, później obracałem się w zakresie wiadomości potrzebnych podoficerowi, w końcu wykladałem taktykę, odwołując się wciąż do przykładów z wojen, polskich zwłaszcza. Słuchali z uwagą, wykładów nie opuszczali nigdy.

Bywałem i na ćwiczeniach sokolich większych. Roilo się „druhom” o rzeczach większych, o armjach, a szło czasami trochę nieskładnie; zapal był jednak zawsze.

Objąłem później pułk legjonowy i miałem go w ręku przed odmarszem na front niespełna przez miesiąc. Wiedziałem w końcu jedno z pewnością: ci ludzie nie zmiękną mi nigdy, jeżeli ja sam nie zejdem ze stanowiska. Ale co też to byli za ludzie! Młodzież szkolna, akademicy, inteligencja miejska, i najzapaleńsi, najlepsi chłopcy ze wsi. Wyszkoleni byli w końcu nienajgorzej, bez porównania lepiej niż obecny nasz rekrut, wysyłany na plac boju; przy zapale powszechnym szło wszystko dziwnie prędko. A zapal był taki, że ludzie i śmierć znosili łatwiej, niż dzisiaj. Pamiętam, jak umierał szeregowiec, profesor gimnazjalny z zawodu, z przestrelonemi na wylot w dwóch miejscach płucami. Patrzył śmierci prosto w oczy: „Byleby tylko z tego było coś dla Polski!” Oficerowie mojego pułku

stali na najrozmaitszym poziomie przygotowania wojkowego, naogół bardzo niewielkim; ludzi swoich trzymali jednak w rękę, posłuch mieli; zapewniła go im ochoczość i dobra wola żołnierzy. Oficerowie nie wiedzieli wtedy nawet, jak mają się nazywać w istocie. Nie wiem, czy może dlatego, że czuli się zbyt młodymi, aby tak z mostu przybierać stopnie podporuczników, poruczników i kapitanów, czy też dlatego, że chcieli wymyślić coś nowego i lepszego od powszechnie przyjętej hierarchji wojskowej, nazywali się „plutonowymi”, „kompanijnymi”, „baonowymi”. Mnie jednego w pułku nazywali pułkownikiem, często z przydatkiem „obywatela”. Dziwiło mnie to trochę, boć „obywatel”, to już chyba „ziemski”, a ja żadnego do tego tytułu prawa nie miałem.

Przed zawagonowaniem na front dostaliśmy karabiny nowego typu, t. zw. „greki”. Bieda z nimi była porządna, bo szkolenie odbywało się z manlicherami. W wagonach zebrałem oficerów i urządziłem im wykład o „greku”; oni zaś uczyli z kolei szeregowych.

W pierwszych naszych potyczkach moi żołnierze wszędzie widzieli Kozaków. „Panie pułkowni-

ku, w tym lasku są Kozacy!” — te słowa słyszałem prawie ciągle. Zwykle, jak to młody żołnierz. Ale w pierwszej utarczce z tymi „Kozakami” szli dobrze naprzód, aż radość brała. Tylko trzeba ich było mieć w garści. Musiałem zawsze prawie być w linii bojowej, przy straży przedniej, jednym słowem wystawiać się tak, jak tego nie czyni zazwyczaj dowódca pułku.

Dobre to były czasy! Z tymi ludźmi można było wiele zrobić, bo trzymali się kupy i znosili wiele. Popsuł ich później, ale znacznie później, zły przykład wojsk austriackich. Popsuli, prawdę powiedziawszy, i nasi lekarze, dobrzy, zacni ludzie, ale nie mający za grosz praktyki postępowania z żołnierzem. Przychodzi „legun” do lekarza i skarży się na drobną dolegliwość żołądka. „To idź do kucharzy”. W ten sposób przy kuchniach potworzyły się grupki bezczynne, dające zły przykład. Albo znowu inny prosi o to, aby mógł na kurację jechać do Pesztu, do Gracu, bo tam ma ciocię. „To jedź do Pesztu, do Gracu!”

Ale to przyszło dopiero później. Na razie ludzie szli naprzód z tą otuchą i poświęceniem, którego nie spotykałem w wojskach regularnych.



Odznaka II Bryg. Leg. Pol.

Bajonczycy.

Już w pierwszych dniach wielkiej wojny, kiedy przez ulice Paryża przeciągały szeregi przyszłych obrońców Francji, kiedy melodję bojowej pieśni wolności rwały okrzyki, niby ślubowanie zwycięstwa lub śmierci — myśl stanięcia w szeregach francuskich żołnierzy wdarła się w serca Polaków we Francji, jako jedyne pragnienie rozkazne życia.

Dnia 22 sierpnia 1914 roku, kilkuset Polaków wśród ciągłych okrzyków „Vivent les volontaires polonais!” (Niech żyją ochotnicy polscy!) po defiladzie na placu Zgody, podpisało swoje zobowiązanie wojskowe na czas trwania wojny.

Nazajutrz, odprowadzani przez tłumy, wyjeżdżali ochotnicy polscy do Bajonny, a raczej do Montbrun między Bajonną i Biarritz, gdzie w ciągu

dwóch tygodni odbyli przygotowawcze ćwiczenia, poczem — w samej już Bajonnie — w ciągu czterech tygodni uzupełniali swą edukację wojskową.

Od wczesnego świtu do godz. 5-ej wieczorem poznawali Polacy od oficerów i podoficerów z Legji Cudzoziemskiej coraz to inną mądrość wojskową. Długie marsze nocne hartowały ten, całą siłą swej woli, ciekawości i ambicji garnący się do doskonałości żołnierskiej — element różnorodny ochotników, z jakiego później złożyła się świetna jednostka bojowa.

W połowie października 1914 roku, z własnym sztandarem, ofiarowanym przez piękne, niezapomniane Bajonki, kompanje polskie (późniejszy Bataljon C — I go pułku cudzoziemskiego) wyjeżdżały na front.

Wyjazd na front

Ile niezgłębionego wówczas łroku zawierały w sobie te dwa słowa, ile obietnic kryły bliskiego spełnienia najtajniejszych marzeń, ile w wyobraźni nasuwały najcudniejszych obrazów — ten tylko wie, kto całą treść swego istnienia zamknął w chęci czynu dla Ojczyzny, od której dzieliło go tysiące kilometrów i sieć linii wszelakich, poplątanych frontów, wrogów przeciw wrogom i przyjaciół przeciw nieprzyjaciółom Polski.

Małe miasteczko Mailly w Szampani — to pierwszy etap na bitewnej drodze polskiego ochotnika.

żołnierza polskiego na obcej, choć przyjaznej ziemi Francji.

Za łaskiem brzoźowym, ruinami starego domu czy pałacu, rzędy krzyżów białych, sosnowych na polskich mogiłach, mowy polskiej dźwięki, żarty i przekleństwa, nierozumiane tam teraz przez nikogo skamieniałe echa i krwi polskiej krople w ziemię francuską wsiąknięte — oto znów szczegół w pamięci żywych — podarek polski ziemi obcej, co dnia składany w ciągu 6-ciu miesięcy pobytu w Szampani.

Bohaterska śmierć Władysława Szyskiego,



ORKIESTRA 3 P. UL. WIELKOPOLSKICH, PODCZAS DEFILADY, PRZY ZAJĘCIU
BYDGOSZCZY PRZEZ WOJSKA POLSKIE 20 STYCZNIA 1920 r.

Wymarsz nocą nad kanał Aisne, gdzie nie zastały jeszcze trupy ludzi, co się parę dni temu zmagali w śmiertelnych uchwytach nad Marną; kilkodniowy pobyt w okopach Sillery o 45 metrów od Niemców; śmierć dowódcy kompani naszej, porucznika Dounic'a; pierwsze krople krwi kolegów padające na nasze szeregi — to wszystko, co pamięć wyniosła z pierwszych dni pobytu na froncie poprzez długie miesiące wojaczki, przez jęki i krew niezapomnianych, serdecznych towarzyszków broni.

A potem już łańcuch niezliczonych dni nudnej i nużącej walki w okopach Vrunay pod Reimsem, łańcuch, skuwający wszystkich ochotników w jeden, o jednakowej treści życia, byt skupiony, niczem nie dający się rozszarpać, byt nieustępliwy

pierwszego chorążego Bajonczyków, który legł ze sztandarem w rękach, wówczas, kiedy Niemcy mścili się podstępnie za porozumienie nasze z Poznańczykami.

Wigilja Bożego Narodzenia, Nowy 1915 krwawy rok, Wielkanoc, dni bardziej przez tradycję jaskrawe, wszystko zda się rozplynęło w majowym słońcu. Zmęczone ciało znów sprężyło się, gotowe do walki i czynu. Czekano dnia wielkiego wezwania.

Aż przyszło.

Dnia 9-go maja 1915 r. pod Arras, Bajończycy na czele wszystkich, wypróbowani żołnierze, kompanie żelazne (jak nas nazywano) w rozświetlone majowe przedpołudnie ruszyli do ataku.

Po wadołach, po zoranej pociskami ziemi, strzępach ciał czerwonych, zda się jeszcze pulsujących, nie znając przeszkód, nie znosząc oporu, w dymie, ogniu i słońca błogosławieństwie, zajęli trzy linie okopów.

Nie wiedzieli, że coraz ich mniej, że chórem pieśń polska śpiewana słabnie;—parli jak awina.

Na zieleniejącej pod wzgórkim łące dopiero przystanęli. Zmęczenie fizyczne nakazało namysł. Byli sami. Kilkudziesięciu zaledwie wyciągniętych

cje, kiedy to przyszli strzelcy marokańscy i zmienili tych kilkudziesięciu żywych wyczerpanych bohaterów polskich.

Po walkach pod Arras, N. D. Lorette, Cabaret Rouge, została maleńka zaledwie garstka Polaków, a i ta 16 czerwca 1915 roku ostatecznie została zdziesiątkowana.

Obecnie z Bajończyków zostało przy życiu zaledwie dwudziestu kilku. Większa ich część służy w armji polskiej.



NABOŻEŃSTWO PRZY KOPCU W TWIERDZY BOBRUJSK NA GROBACH ŻYWCEM ZAKOPANYCH PRZEZ BOLSZEVIKÓW OFICERÓW I ŻOŁNIERZY I KORPUSU.

w łańcuch, bez oficera, nikogo coby dalszej walki ciąg rozkazał. Za nimi smugi wlokących się dymów, głuche dalekie pojęki armat, grupy jeńców niemieckich bez broni, osłupiałych, przypadających do rąk i nóg Bajończyków z całowaniem i łzawą prośbą o życia darowania. Dziwna chwila: Aż z po za pagórka zaharkotały mitraljezy niemieckie. Przypadli do ziemi. Parę ogniów pękło. Aż wdarli się na stóg i z ustawionej na nim mitraljezy zaczęli prażyć przybyłe posiłki niemieckie.

Do późnego wieczora utrzymali zajęte pozy-

Podczas naszej defensywy sierpniowej zginął kpt. Mieczysław Rodzyński — Bajończyk, jedenaście razy ranny we Francji.

Oto krótkie skreślenie dziejów pierwszego we Francji oddziału polskiego, który zostawił tam po sobie jaknajlepszą pamięć.

Sztandar Bajończyków, poszarpany kulami wrażem, nagrodzony został krzyżem wojennym; jest obecnie w Warszawie u kpt. Krajewskiego.

Jan Żyznowski.

Nasi żołnierze.

(Z opowiadań Generała).

Budiennyj po nieudanej ofensywie na Lublin dostał się, jak wiadomo, w nasz potrzask i musiał przebijać się w kierunku na Hrubieszów. Przebijając się, poszarpał naszą dywizję 2-gą legjonową i część 10-ej. Zdarzyło się wtedy, że jeden baon naszej piechoty dostał się w całości do niewoli w jego ręce. Oficerowie, w czasie wzięcia do niewoli, zmieszali się w tłumie i zdjęli swoje odznaki.

Bolszewicy mieli pewność, że z baonu tego ani jedna noga nie uszła i że wszyscy oficerowie są zatem w niewoli. W Równem zażądali od szeregowych wydania ich, grożąc za odmowę surowymi karami. Spotkali się z odmową. Wówczas zamknęli naszych za drutami i głodzili ich. Gdy i to nie pomogło, stawiali co dziesiątego pod murem, grożąc natychmiastowym rozstrzelaniem. Szeregowi nasi znosili męczarnie przez 2 tygodnie; mimo to na 600 ludzi nie znalazł się ani jeden, któryby zechciał przez zdradzenie swoich oficerów ratować własne życie.

Świadczy to chyba dowodnie, że w wojsku naszym stosunek szeregowego do oficera przedstawia się dobrze.

* * *

Po bitwie warszawskiej, w czasie działań następnych, jeszcze w okresie, gdy zwycięstwo nie przechylało się na naszą stronę, 300 naszych szeregowych na Wołyniu dostało się do niewoli sowieckiej. Zawieziono ich do Włodzimierza Wołyńskiego i poprowadzono do miasta. Trafili oni tutaj w przemarszu na wielki wiec, urządzany przez komisarza bolszewickiego i stali się mimowolnymi słuchaczami jego przemówienia. Komisarz mówił, że zwycięstwo przechyliło się już ostatecznie na stronę Sowietów i że w Polsce wali się wszystko, zaś żołnierze masowo poddają się i przechodzą na stronę armii czerwonej. W tem miejscu zauważył on pochód naszych jeńców i zaraz dodał: „Ot — i macie żywy dowód tego, że i ci przeszli na naszą stronę“. Wówczas jeden nasz sierżant, który znał język rosyjski, wyskoczył na kupę kamieni i zawołał: „Wriosz, jewrej!“ — poczem wygłosił na poczekaniu mowę; dowodził, że w wojsku polskim

panuje jaknajlepszy duch, że nikt się nie poddaje a wkrótce zwycięstwo oświadczy się za nami. Komisarz rzucił się na niego z rewolwerem. Zgromadzony tłum nie poparł go jednak, krzycząc, że sierżant ma słuszość, a on kłamie. Wynikła awantura. Tłum wziął w obronę naszego sierżanta, który w ten sposób swojego śmiałego wystąpienia nie przypłacił życiem.

* * *

Po zajęciu Mozyrza i Kalinkowicz pięć pułków piechoty i dwa pułki jazdy naszej Grupy Poleskiej staczały ciężkie walki z sześcioma i pół dywizjami sowieckimi. Trzymały się dobrze, stwierdzając tem wymownie, że z dobrymi oficerami i szeregowymi można sobie i w ciężkiej sytuacji dać radę. Zdarzyło się wtedy, że pod Jelaniem jeden baon pułku 22 p. naszej (rozporządzający jednak 18 k. m. i 8 miotaczami bomb) oraz dwie baterje dział, musiały w ciągu 48 godzin wytrzymać nacisk całej 17. dywizji sowieckiej.

Huraganowy ogień artylerji bolszewickiej przeziął trochę naszego rekruta. Jeden z nich skarżył się na to sierżantowi. „Głupiś, to są przecież nasze armaty“ — „Jakto nasze armaty?“ — „Zabierzemy je, to będą nasze“. W taki to sposób stary i ostrzelany podoficer mógł oddziaływać na żołnierza, zmęczonego już poprzednio ciężkimi walkami.

* * *

Raz, na południowym odcinku Grupy Poleskiej w kierunku na Owruż, dowódca pododcinka otrzymał rozkaz zrobienia wypadu i zabrania nieodczownie jeńca. Przyszedł wtedy akurat do Grupy Poleskiej pułk 32 piechoty, warszawski, znakomicie wyekwipowany i zaopatrzony w bardzo ładne hełmy. Dowódca pododcinka (oficer p. I-go szwoleżerów) wziął jedną kompanję tego pułku na wypad. Hełmy nakazał zdjąć, mówiąc, że to bardzo dobre do paradowania w Warszawie, ale nie tutaj. Na to dowódca kompanji pułku 32 piechoty zauważył, że hełmy są jednak do użycia w polu. „Ależ to nie o to chodzi — odpowiada szwoleżer — bolszewicy i tak wieją przed nami, a jak zobaczą wasze hełmy, to będą wiać jeszcze szybciej; w ten sposób wystraszyacie wroga, a ja nie spełnię zadania i nie zabiorę jeńców.“



Odznaka Hallerczyków.



Kartki z pamiętnika żołnierza 2 p. p. Leg. Pol.*).

5 II. 1918 r.

Siedzimy w Mamajowcach. Ot — wegetujemy. Część kolegów wyjechała na najrozmaitsze kursy. Tym wprost zazdroszczę. Nauczą się wielu ciekawych rzeczy. A wiele się nam jeszcze uczyć wypada. Wszak dlatego wytrwaliśmy na stanowisku, ażoby pogłębiać nasze wiadomości wojskowe i nie rozdrabniać tych małych sił, które — w razie czego — mogą w zwartych szeregach wystąpić znowu do czynnej walki. Wszak dlatego w Królestwie pozostał „Wehrmacht“, ażeby uczyć się, uczyć i jeszcze raz uczyć.

Społeczeństwo podzieliło nas na dwa obozy: na żołnierzy i brygady i tych z pośród dwóch innych brygad, którzy odmówili złożenia przysięgi, tudzież na tych, którzy albo przysięgę składali, albo też jako „poddani austriacy“ przeszli do Polskiego Korpusu Posiłkowego.

Ale w rzeczywistości dzieli nas jedynie sposób służenia ojczyźnie. Pierwsza brygada postanowiła jej służyć obecnie konspiracyjnie w P. O. W. i w wojsku austriackim, by kierować tam pracą rozkładową, my zaś, druga brygada, w szeregach zwartych. I pierwsza jednak brygada i my dążymy do tego samego, jedynego celu: przygotowania kadr dla przyszłej, wolnej, zjednoczonej ojczyzny.

9. II.

W Brześciu toczą się rokowania pokojowe. Gdybyśmy byli mogli stworzyć jednolitą armję pol-

ską, liczonoby się tam z nami, bo za naszym prawem stałaby siła zbrojna. Liczyliby się z nami i Niemcy i Rosjanie. Druga brygada wytrwała w szeregach. W ciężkich, bardzo ciężkich warunkach, mimo, że dobrze sobie z tego zdawała sprawę, że „sprzymierzone“ Niemcy i Austria są takim samym dla nas wrogiem, jak Rosja. Zresztą z tego zdawała sobie doskonale sprawę jeszcze w r. 1914. Wytrwaliśmy w szeregach legjonowych, ażeby reprezentować — siłę. Szkoda, że nas tak mało.

12. II.

Ukraina zawarła z Niemcami pokój. Sama ogłosiła się niepodległą i wywalczyła uznanie u mocarstw.

A Polska? Mocarstwa centralne ogłosiły niepodległość Polski 5 listopada 1916 roku. Mimo to nie chcą wycofać swych wojsk z granic polskich. Godzą się na stworzenie „żandarmerji narodowej“, wojska w sile 6000 ludzi. Proste kpiny!

12. II. po poł.

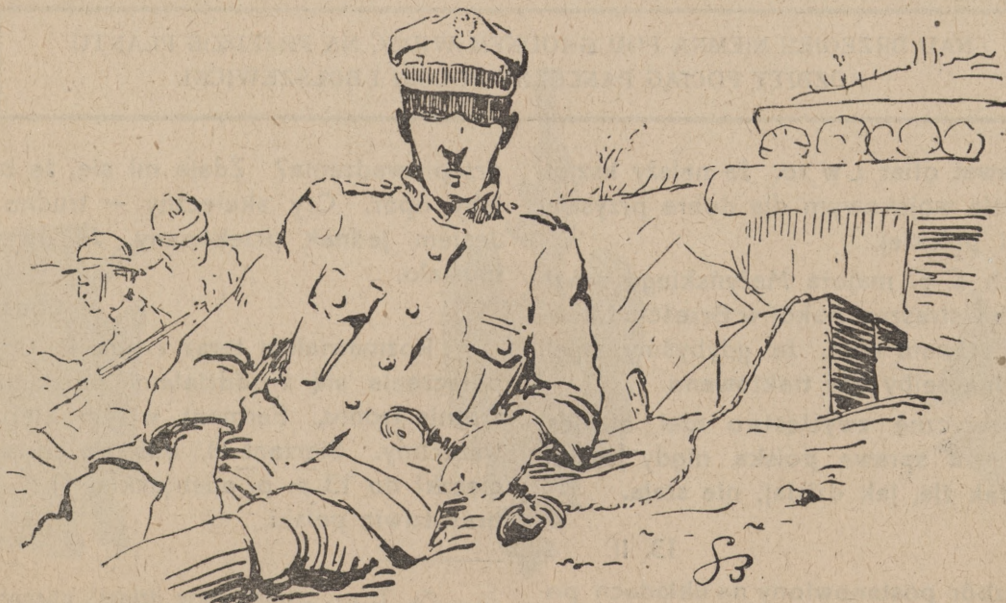
Zwycięstwa korpusu gen. Muśnickiego. A my? Siedzimy z założonymi rękami. Jakażby to była teraz piękna, stosowna chwila, by połączyć się z wojskami polskimi, po tamtej stronie frontu tworzonemi i pokazać panom z Brześcia, że Polska też ma coś do powiedzenia.

Gdyby pułkownik Żymierski powiedział dzisiaj jedno słowo, pułk nasz byłby zdecydowany na wszystko.

godz. 6 wiecz.

Muśnicki walczy. A we Lwowie Prusacy strzelają do tłumu. Straszna ironja! A my? Szkolimy się na kadry wojska polskiego...

*) Kartki te, pisane w okresie rokowań pokojowych w Brześciu Litewskim w 1918 r. okazują nastrój, jaki panował wśród legjonistów II Brygady na wieść o tworzeniu się Korpusów Wschodnich tudzież o uchwałach pokojowych.



Telefonista.

rys. St. Bobiński.

Żeby tak Pierwszy Korpus Polski przekroczył teraz rowy strzeleckie i z nami wkroczył do okupowanych krajów... Boże... To byłby cud...

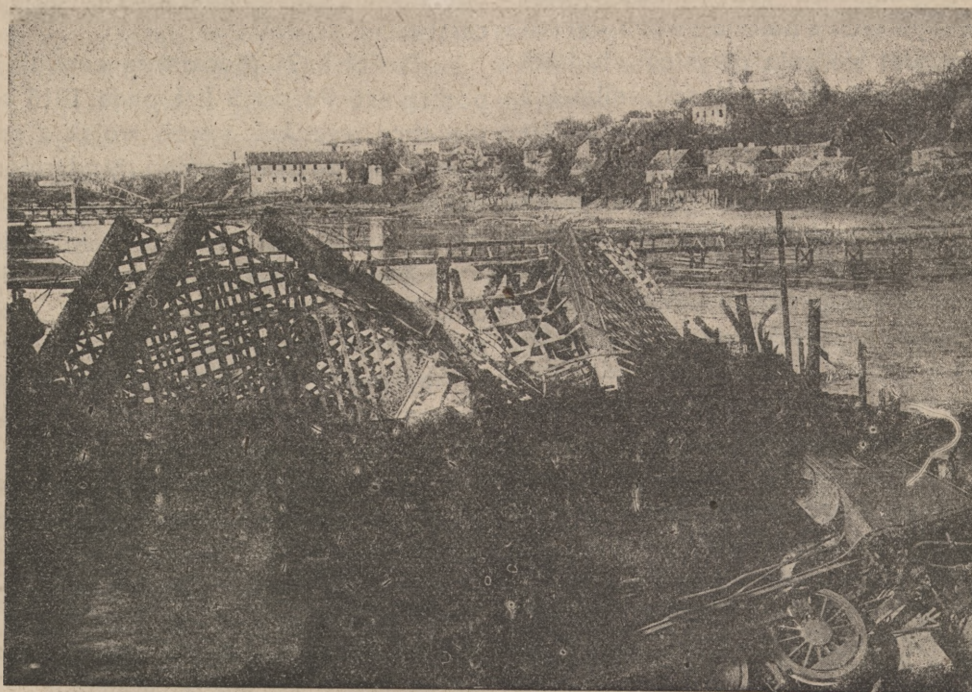
godz. 8 wiecz.

Umarł w Krakowie major Mężyński. Żal po jego stracie jest powszechny w całym pułku. Wiemy wszyscy, że przed wojną działał on w Białej przeciwko Niemcom, a mimo to pozostawał w szeregach Polskiego Korpusu Posiłkowego, dla tego, że stał na stanowisku trwania za wszelką cenę. Wierzył w to, że, czy pod tym, czy innym mundurem, bije zawsze polskie serce, gotowe dla ojczyzny do

godz. 2 pop.

Brygadjer Haller wydał dzisiaj rozkaz oficerski, stwierdzający ponad wątpliwość szlachetne intencje, jakimi jest przepojony korpus oficerski drugiej brygady. Brygadjer Haller pisze z bólem o nowym bezprawiu, popełnionym na naszej ojczyźnie, bezprawiu, które przeczuwał już dawno, boć przecież, ażeby się przed nim uchronić, dążyła druga brygada do stworzenia silnej, jednolitej armii narodowej.

Wśród legionistów daje się odczuwać ferment. Krażą pogłoski o nastąpić mającym rozbrojeniu naszej brygady. Czyby to jednak było możliwe do



NAD BRZEGIEM NIEMNA POD GRODNEM WIDAĆ NA PRZEDZIE PLANTU ROZBITY POCIĄG PANCERNY POLSKI I BOLSZEWICKI.

największych nawet ofiar i w to, że należy kształcić się w zawodzie wojskowym dla dobra przyszłej niezależnej armii polskiej.

Dzisiaj duch ś. p. majora Mężyńskiego mógłby tryumfować, bo straszny pokój w Brześciu Litewskim jest świadectwem tego, że gdybyśmy mieli własne wojsko, inaczejby nas traktowano.

Czysto teoretyczne zwycięstwo idei nie jest jednak niczem — a sprawa polska nigdy jeszcze podczas wojny tak źle, jak dzisiaj, nie stała.

13. II.

Czwarty rozbór postanowiony na układach pokojowych z Ukrainą.

przeprowadzenia? Zdaje mi się, że brygada stawiałaby opór. Czy skuteczny — trudno przewidzieć. Jestem jednak przekonany, że do tego by dojść musiało.

godz. 3 pop.

Rozmawiałem teraz z por. R. Ożywia go chęć połączenia się z oddziałami polskimi po drugiej stronie frontu. Ferment w tym kierunku jest powszechny. Sierżant H. odbywa coraz częstsze wybieżki do 13 p. p. austriackiej *). I tam nastrój prawdziwie polski.

*) T. zw. „Krakowskie dzieci”, obecnie 20 p. p. ziemi Krakowskiej.

godz. 7 wiecz.

Rozwiązanie Legionów? Myśl ta dusi nas, jak zmorę. Byli u mnie koledzy O. i J. — wszystkich gnębi to pytanie. Miałaby cudowna pieśń Legionów tak strasznym skończyć się dysonansem? Austrija ma pretekst do rozwiązania Legionów: wojna z Rosją skończona. Ale czy my moglibyśmy się z tem pogodzić? Czy nasza rola skończona?

8 wiecz.

K., S., N, K. i ja zostaliśmy zawezwani służbowo do pułkownika. Twarz jego wyraża ból i cierpienie. „Stoimy wobec faktów strasznych — mówi on — co do nas, to nie dopuścimy do tego, by mundur żołnierza 2 p. p. był splamiony“. Nakazuje nam surową cenzurę listów, gdyż moglibyśmy łatwo wpaść w pułapkę. „Jesteśmy otoczeni przez wrogów, a więc nie możemy zdradzić się z własnych planów“.

11.30 wiecz.

Dostałem kartkę o następującej treści: „Kraków—Lwów—Przemyśl—Tarnów—przygotowuje się rewolucja przeciwko Austrii. W miastach żałoba—z powodów — jak wiecie — odesłać do domu nie potrzebne rzeczy, aby umożliwić marsze. H.“

14. II.

Nabożeństwo żałobne za spokój duszy ś. p. majora Mężysłńskiego, na którym — z powodów służbowych — nie mogłem być obecny, zmieniło się w potężną manifestację uczuć narodowych. Podobno nigdy jeszcze tak z głębi duszy nie śpiewano „Roty Konopnickiej“, jak dzisiaj... Śpiewał także gen.

Zieliński. Po nabożeństwie odbyła się odprawa oficerska.

Wkrótce kroki nasze mają być podjęte. Gdzie—niewiadomo. Czy w stronę Galicji, czy Kongresówki, czy — Polskiego Korpusu po drugiej stronie frontu.

wiecz.

Cenzura listów dała niezwykle ciekawe wyniki. Treść listów niemal wszystkich legionistów: „Austrija i Niemcy nas zdradziły. Po drugiej stronie frontu tworzą się oddziały polskie. Połączmy się z nimi jaknajprędzej.“

O godzinie 4-ej odbyła się odprawa podoficerska. Pułkownik Żymierski przedstawił jasno sytuację. Mamy być gotowi na wszystko i przygotowani do drogi. Zachować ściśle milczenie i spokój. Wierzyć oficerom. Rozbroić się nie damy.

Na zakończenie odśpiewano „Rotę!“

Dopisek: Jak wiadomo, wkrótce potem druga brygada pod dowództwem brygadiera Hallera, ppłk. Żymierskiego (2 pp.) i mjr. d-ra Zajęca (3 p. p.) po walce z Austriakami przekroczyła rowy strzeleckie i w Sorokach połączyła się z II Korpusem Polskim.

W ten sposób rozpoczęła się akcja zespalania wszystkich odłamów polskich w jednolity organizm.

Wiktor Brummer,
kapitan piechoty.



Odznaka Kaniowska II Korpusu.



Odznaka internowanych
w Huszt (oficerska).



Odznaka internowanych
w Marmarosch Sziget.

BITWA POD OSIPOWICZAMI.

(19 lutego 1918 r.).

Była mroźna, jasna noc księżycowa; cisza wołało i nic wśród spokoju nocy nie zwiastowało, że wkrótce majestat jej zostanie szarpany suchym trzaskiem salw bojowych.

Na stacji Tatarce (droga żelazna Bobrujsk-Mińsk) tymczasem przygotowywano się gorączkowo: dwa eszelony z naszymi wojskami gotowe były do odjazdu w kierunku Mińska, żeby zająć stację Osipowicze, znajdującą się jeszcze w posiadaniu bolszewików.

Eszelony wyruszyły z Tatarki: pierwszy w nocy o godz. 1 m. 30, a wkrótce po nim drugi o godz. 3 nad ranem; skierowano je w stronę rozjazdu № 7 ku stacji Osipowiczom. Eszelon składał się z części 2-giej legji rycerskiej, 1 i 2 kompanji 6 pułku, 3 kompanji 7 pułku, 25 saperów, pół szwadronu 1 pułku ułanów, i dwóch dział z 3 ciężkiego dywizjonu.

Akcją dowodził kapitan Jurkiewicz z Legji Rycerskiej.

Po półgodzinnej drodze eszelon zatrzymał się. Zdała majaczyły podjazdy nieprzyjacielskie... To Tekińcy, pod wodzą Ikaiewa, na zwinnym koniach, strzegąc lewego i prawego skrzydła wysunęli się do walki w kierunku mostu, mając poza sobą 4 eszelony bolszewików w składzie pułku: 266 Poreczeńskiego, 526 Dewoboińskiego, jednego wojenno-rewolucyjnego bataljonu czerwonej gwardji, 11 dział, kilkudziesięciu kar. maszynowych i 2 pancernych samochodów, ustawionych na platformach pociągu.

Oddział nasz, nie zwlekając, stoczył pozorną walkę z Tekińcami...

Tak — pozorną; brzmiał to jak fantazja, zdawałoby się bowiem, że półdzikie plemię nie może sobie zdawać jasno sprawy, jakie mogą być nasze dążenia, a z drugiej strony — co pobudza bolszewików do walki. A jednak Tekińcy, lepiej niż bolszewicy, rozumieli wówczas, co to jest „samookreślenie narodów” i „wolność obywatelska”. Już poprzednio, gdy delegaci Tekińców byli u nas w twierdzy, oświadczyli wyraźnie, że nie chcą z Polakami wojować, a rządy bolszewickie i im już obmierzły. Wówczas postanowiono, że pozorną stoczmy z nimi walkę, strzelając tylko... w powietrze. Strzelaliśmy więc, i oni strzelali. W rezultacie, po półgodzinnej „walce”, Tekińcy... „odstąpili”.

Teraz inny już nieprzyjaciel czekał na nas: rozbestwiona, ziejająca nienawiścią czubarycka*) hor-

da z czerwoną gwardją na czele, horda, obiecująca sobie pogrom bezlitosny i znęcanie się nad nami, horda, spragniona krwi w imię... mordu, gwałtów i grabieży. Posunęliśmy się naprzód do mostu przez rzekę Sinię, dalej jednak pociągi nasze nie mogły iść, gdyż tor kolejowy był przed mostem i za mostem rozebrany. Zebrawszy kolejowców, siłą oręża zmusiliśmy ich do naprawy toru, a Legja Rycerska, mająca za sobą 1-szą i 2-gą kompanję 6 pułku i 3-cią kompanję 7-go, udała się na stację Osipowicze, stąd o 1½ wiorsty. Przy pierwszej budce za mostem zamajaczyły nagle jakieś sylwety: byli to bolszewiccy konni wywiadowcy. Zestrzelono ich z siodeł ogniem karabinowym.

Posuwając się dalej i zostawiając wartę na kolei przy moście i około wioski Prudok, na zakręcie, gdzie nader łatwo można było wysadzić tor kolejowy, oddział nasz, składający się z [9 ludzi z Legji i 7 z 3-ciej kompanji 7 pułku, z podkapitanem Steckiewiczem na czele, szybkim uderzeniem zajął stację kolejową i uderzył na dwa eszelony bliższe. W jednym z nich mieścił się sztab wojenno-rewolucyjny, a w drugim na platformach wagonowych widniały ponure sylwety dwu samochodów opancerzonych.

Strzelanie z karabinów i dział wywołało popłoch wśród czubaryków. A gdy jeszcze podeszły kar. maszynowe, przyprowadzone z rozkazu kapitana Jurkowicza i dały salwę — dwa bolszewickie eszelony rozbiegły się w nieładzie.

Działo się to około 4-ej nad ranem.

Nagle dwa groźne, ponure samochody pancerne ożyły, ziejąc na wszystkie strony ogniem zabójczym. Z czeluści ich rozlegał się nieustanny trzask kar. masz. i 37-milimetrowych kartaczownic. Padł dzielny, nieustraszony porucznik Podlewski i podchorąży Prokopowicz. Obaj odważywszy się przyplącili, podpełzając w tem piekle ku samochodom. Prócz tego ranni zostali porucznicy: Huraszko i Krzeczkowski oraz chorążowie: Babkiewicz, Maliszewski i Rzędzia. Straty w ludziach małego, śmiałego oddziału były tak znaczne, że kapitan Jurkiewicz miał zamiar nawet cofnąć się, rozkazawszy ranionym, ażeby po opatrunku szli do pociągu, niedaleko mostu.

Podczas tej akcji ułani 1-go pułku z saperami z Legji Rycerskiej wysadzili w powietrze tor kolejowy w 3-ch miejscach za Osipowiczami w stronę Mińska i w 2-ch miejscach za Osipowiczami w stronę Słucka, żeby odciąć odwrót dwu eszelonom z samochodami pancernymi. Wybuchy udały się.

*) Czubarykami nazywali nasi żołnierze bolszewików. (Przyp. autora).

Tymczasem pomoc, wezwana przez kapitana Jurkiewicza, w najkrytyczniejszej chwili na szczęście nadeszła. Artylerja również zionęła wzmocnionym ogniem. Czubarycy pierzchli w nieładzie. Wzięto do niewoli około 400 jeńców.

Eszelon z samochodami pancernymi zaczął się stopniowo cofać w stronę Mińska, a znalazłszy popusłą przez wybuch drogę, skierował się ku Słuckowi, lecz i tu również znalazł tor wysadzony.

Los samochodów opancerzonych: „Sokoła” i „Strjely” stawał się coraz cięższym, tembardziej, że pociąg ten atakowany był już przez znajdujących się tam ułanów.

Tymczasem około stacji robiło się coraz luźniej. Dwa nasze działa prażyły skutecznie, a granaty pękały wśród wagonów.

Sztab wojenno-rewolucyjny rozpiezchł się, zostawiając w wagonach kancelarję i kasę.

Około 6½ rano zawładnęliśmy już całą stacją. Nie zdołaliśmy tylko zdobyć eszelonu z samochodami pancernymi, bowiem siły nasze okazały się jeszcze za szczupłe. Ogień tych ruchomych fortec był tak zabójczy, że niepodobieństwem było wziąć je szturmem z małą garstką naszych żołnierzy. Bolszewicy zdołali naprawić tor, a pociąg z samochodami, wciąż ostrzeliwując się, niestety — umknął.

Zaraz po zajęciu stacji wystaliśmy kompanje do Osipowicz dla odebrania od włościan broni, rozdanej przez bolszewików. Połów udał się; znaleziono u chłopów zgórą 300 karabinów.

Czubarycy podczas boju, szczególnie z początku, starali się wpływać na psychologję naszych żołnierzy, wołając: „Towarzyszy! nie strelajcie, swol idui!” lecz po kilku naszych salwach przekonywali się namacalnie, że nie mogą na naszych chłopów liczyć i pierzchając, „oczyszczali” plac boju. Zaciętość jednak i zajadłość ich przekraczała wszelkie granice; wielu rannych groziło n. p. pięściami tym z pośród nas, którzy chcieli się do nich zbliżyć.

Dziwne połączenie bezgranicznego tchórzostwa z barbarzyńską wprost zajadłością.

Wzięliśmy w bitwie 7 dział 3-cal., 68 kar. maszynowych, z górą 300 karabinów, 50 koni zdalnych do artylerji wraz z uprzężą i prócz tego dużo koni do taborów, moc różnych produktów, naboji, pocisków do armat i wszystkie składy w Osipowiczach. Zarekwirowaliśmy również dwa pociągi sanitarne, które mi zaraz z miejsca woziliśmy rannych do Bobrujska.

Zabitych czubaryków w wagonach znaleziono około setki i prócz tego 50 rannych lub zabitych wśród pola i na planie kolejowym.

Naszych żołnierzy było w bitwie tylko 200 (z legji 34, piechoty 130, kawalerji 27 i artylerzystów 9). Rosjan było około 2000; stosunek zatem wymowny: 1 do 10.

Akcją bolszewików kierował Kamienszczykow w zastępstwie Cejtlina, dowodzącego wojskiem pod Tatarką. Cejtlin poróżnił się w tym czasie z Miasnikowem, głównodowodzącym zachodnim frontem, powierzono więc dowództwo Kamienszczykowowi.

Kamienszczykow, zdecydowany polakożerca, namawiał wciąż do ofensywy przeciwko nam i w tym też duchu wysłał telegram do głównodowodzącego wszystkimi siłami zbrojnymi, Krylenki, zaznaczając, że 19-go o 9-tej rano rozpoczyna atak z ogniem działowym, kierując swoje siły na rozjazd kolejowy № 7. Prócz tego wydał odezwę, podburzającą przeciwko Polakom.

Wzięcie Osipowicz dopomogło nam skutecznie do szczęśliwych operacyj w kierunku Słucka i Mińska; szczególnie Mińsk był dla nas bardzo ważnym punktem.

Bitwa pod Osipowiczami jest wymownym dowodem, że zorganizowana garstka ludzi działających może stawić czoło i zwyciężyć zdemoralizowaną hordę, choćby bodaj dziesięćkroć liczniejszą.

*Walenty Zieliński,
kapitan artylerji.*



Odznaka Legjonu Pułaskiego.



Odznaka I Korpusu.

Na front serbski w 1914 roku.

Od Warszawy aż do Petersburga
Za Moskalami marsz, marsz, marsz!

Piosenkę tę usłyszałem po raz pierwszy w 1908 roku podczas służby jednorocznej w 30 p. p. „Lwowskich dzieci”.

Śpiewały ją, jak się później przekonałem, wszystkie oddziały armji austriackiej, składające się z Polaków, co świadczy o tem, że myśl i ochota do walki z Moskalami tkwiła w każdym żołnierzu Polaku bez względu na to, pod jakim służył on znakiem. Jednak żołnierze z pod sztandaru czarno-żółtego nie zdawali sobie może sprawy z tego, że, wprowadzając w czyn myśl w płosnce zawartą, natkną się na walczących w szeregach białego cara braci swych z za kordonu. Od czasu rozbioru nie było chyba wojny, w którejby Polak nie godził w pierś Polaka, obydwaj przywdziani w mundury walczących ze sobą armij. Jedna to z wielu tragedij naszej niewoli.

Gdy w lecie 1914 r. powołano mnie do służby w szeregach armji austriackiej, zdałem sobie sprawę z tego, że droga od Warszawy do Petersburga byłaby mi równie sympatyczną, jak marsz odwrotny od Warszawy do Wiednia lub Berlina. Zgłosiłem się tedy do marszówki, mającej uzupełnić detaszowany w Hercegowinie baon 30. p. p., przeznaczony do walki na froncie czarnogórskim i serbskim. Podobną myślą, wiedzionych zgłosiło się na front południowy kilkunastu innych oficerów Polaków, którzy nie chcieli walczyć z braćmi.

Transport nasz odjechał ze Lwowa dnia 1 sierpnia, a składał się niemal w całości z oficerów i żołnierzy Polaków. Pożegnanie na dworcu kolejowym odbyło się ściśle według programu przewidzianego w piosence 30. p. p., mówiącej o tem, jak to:

„Szeregami Lwowskie dzieci
Idą tulać się po świecie”,

bo i „korpskomendant miał przemowę” i muzyka odegrała „Bartosa”. Austrija, naśladować Prusy, które w roku 1870 kazały przygrywać Wielkopolanom, idącym do szturm „Jeszcze Polska nie zginęła”, żegnała odchodzące na front pułki polskie „Wieniec pieśni polskich”. Rozumie się, że i wtedy, mimo darzenia Polaków kokieterijnymi a mglistymi obietnicami, opuszczano z wienca mazurek, wyrażający nadzieję i wiarę w powstanie wolnej i niepodległej Polski. Odegrany nam łaskawie „Wieniec” nie zdołał serc naszych napęłnić wdzięcznością dla „dobrego monarchy”, a tuż po nim, dla przypodobania się i nielicznym Rusinom, odegrano uroczystą kołomyjkę.

W podróży, która trwała 7 dni, dzieliłem swój czas między wagon oficerski, a wagon, w którym jechał mój pluton; poznałem więc dokładnie nastrój oficerów i żołnierzy. Oficerowie osowiali, bez zapału, zdawali sobie sprawę z tego, że walka z Serbami, broniącymi swej ojczyzny, nie będzie wprawdzie wcale pociągającą, jednak prawdopodobnie w ich szeregach nie spotkają rodaków. Żołnierz, materiał doskonały, (pierwsze powołanie rezerwy), który później, chociaż urodzony i wyćwiczony w dolinach,

dokonywał cudów sprawności w górzystym terenie Krasu, w Czarnogórze i w Serbji, nie okazywał również zapału i chęci do walki z „mongolami” jak — nie wiem dlaczego — od pierwszej chwili nazwał Serbów. Zauważyłem to podczas całej wojny, że żołnierz lwowski nie obdarza nieprzyjaciela drażliwymi epitetami. Włochów nazwał poprostu „taljanami”, Ukraińców „karaimami”, przezwiska całkiem niewinne.

Wprawdzie oficerowie Niemcy starali się wmówić w naszego żołnierza nienawiść do Serbów i pragnienie zemsty za mord, dokonany na następcy tronu austriackiego, jednak, nie doznając ze strony Polaków żadnej pomocy i wywołując niemiłosiernem kaleczeniem języka jedynie uśmiech politowania, nie zdołali natchnąć żołnierza zapałem do walki „za cesarza i ojczyznę”.

Żołnierz nasz wiedział o tem, co mu przepowiadała jego piosenka, że

„Na granicy Czarnogórze
„Czeka ich miłrega duża”,

pocieszał się jednak zwrotem, że:

„Może uda się, że powrócę zdrów
„I zobaczę miasto Lwów”.

Sama podróż, nader powolna z powodu nieuregulowanego jeszcze wówczas ruchu transportów, zajmowała wszystkich ze względów czysto turystycznych. Wtedy to już przekonałem się, jak chętnie żołnierz Polak podróżuje koleją; umiem on się urządzać w podróży pod każdym względem doskonale; jest mu zawsze ciepło, nie brak też jedzenia i napitku.

O ile zajmowały naszego żołnierza nieznane mu okolice, Karpaty i puszcza węgierska, o tyle dziwnymi i niezrozumiałymi wydawały mu się entuzjazm i radość Węgrów. Nie wiedział on, że do wybuchu wojny z Serbją wcale przyczyniło się współzawodnictwo słoniny węgierskiej z serbską i sprawą koczowania świń.

Na Węgrzech na widok czerwono-białej chorągwi, wywieszanej na naszym wozie obok obowiązkowej czarno-żółtej, wykrzykiwali mężczyźni „Eljen a Lengyelek”, panie zaś powiewały chusteczkami i stały ogniste całusy; na dworcach Cyganie wygrywali czardasze. W przejeździe przez Gödöllő grupka pań, ku której jeden z żołnierzy wyrzucił kilka róż, stoczyła o nie formalną bitwę wśród obłoku kurzu, zakończoną połamaniem kilku parasolek i przekrzywieniem kapeluszy wszystkich uczestniczek.

Entuzjazm węgierski nam się nie udzielał; żołnierz złościł niemożliwie paprykowany, piekący gulasz, którym raczono go na wszystkich postojach; nawet wino „hungaricum” nie było w stanie ugasić ciąglego pragnienia.

W Bośniackim Brodzie przesiedliśmy się na pociąg kolejki wąskotorowej, który — malowniczo wijąc się charakterystycznymi dla tamtejszego terenu łożyskami rzek, znikającymi pod ziemią — dowiózł nas do Mostaru, stolicy Hercegowiny. Tutaj spotkał nas niemały zawód; przyrzekaliśmy bowiem

sobie, że po 7-dniowej podróży wyciągniemy ciągle skurczone członki w łózkach koszarowych w wagonie; lecz okazało się to złudzeniem. Koszary, choć duże, były przepelnione Węgrami i Czechami, więc my, Polacy, mieliśmy po za miastem rozbić obóz. Łatwo to było rozkazać, lecz trudniej wykonać żołnierzowi, nie przywykłemu do tej czynności. Z trudem powtykaliśmy kołki namiotowe między kamienie krasowe, a w nocy zerwał nam silny wicher wszystkie namioty. Wiara, obudzona przejmującym zimnem, rzuciła się w pogoń za „celtami” i znalazła je rozwieszane na sąsiadującej winnicy, której dotychczas nie zauważyła. Jasne jest, że poszukiwania trwały do rana, bo winogrona tamtejsze są wyborne, a były już dojrzałe. Wczesnym rankiem odmaszerowaliśmy do Nevesinje, gdzie stał nasz baon. W odległości kilkunastu km. od tej miejscowości oczekiwali nas niemal wszyscy wolni od służby oficerowie i żołnierze batalionu, nastąpiły przywitania „krajanów” i znajomych i wspólny marsz na nowe leże. Po przybyciu wcielono nas do kompanij, w których składzie odbyliśmy całą kampanję.

W ciągu pierwszego okresu wojny z Serbją nabrałem do Serbów, jako żołnierzy, dużego szacunku. Są oni nadzwyczaj waleczni, przeważnie rośli i bardzo zwinni. Mieli doświadczenie bojowe ostat-

nich wojen bałkańskich, strzelali celnie, choć otwierali ogień już z wielkich odległości, w tyraljerce samodzielnie, o ile teren na to pozwalał, okopywali się porządnie. Granatów ręcznych, których myśmy jeszcze nie mieli, używali wprawdzie, w szturmie walczyli do ostateczności, nie poddając się. To też straty nasze od samego początku były duże; w krótkim np. przeciągu czasu kompanja moja utraciła dwóch zabitych dowódców, obu Polaków, a z 56 ludzi plutonu, po 4-miesięcznych walkach i odwróceniu gen. Potiorka z Serbji, znalazło się w grudniu nad Sawą niespełna 10-ciu.

Z ludnością cywilną żołnierz nasz, który szybko poduczył się jej języka, żył w zgodzie, niejednokrotnie wspólnie klnąc z lwowska po serbsku jednakowo lubionego „szwaba”.

Wiadomości z kraju nie dochodziły. O zajęciu Lwowa przez Moskali dowiedzieliśmy się dopiero 7-go listopada. Łudzono nas zmyślonemi komunikatami o zwycięstwach w Galicji. Tyfus grasował, straty były duże, więc duch słaby. Prawdziwą ulgę sprawił naszym żołnierzom odwrót za Sawę i postój nad nią do kwietnia 1915 r., w którym to miesiącu przeniesiono nas na front włoski w okolice Tolminu.

*Tadeusz Bałaban,
kapitan piechoty.*



SILA NIECZYSTA.

Cicha jesienna noc księżycowa, jedna z tych nocy, co zdają się zaczarowywać świat cały w jakimś tajemniczym półśnie - półjawnie. Skąpana w srebrzystych promieniach księżycy, natura w takie noce kryje w sobie tysiące zrodzonych z bogatej ludowej fantazji duchów, co znęcone tajemniczymi cieniami straszą w samotnej podróży zabobonnego wędrowca lub odprawiają niewidzialne dla oka ludzkiego piekielne swe korowody.

Złowieszczy puhacz straszyl ponurym śmiechem po lasach, wśród których w pogoni za nocnym owadem sunęły cienie lelków i nietoperzy. Niesamowitym blaskiem w borach jaśniały spróchniałe pnie drzew, od lat wielu złamanych. Błędne ogniki grały tajemną jasnością po cmentarzyskach odwiecznych. Do potężnych rozmiarów wyrastała w blasku księżycowym każda postać, znienacka ujrzana. Za każdym krokiem zdawał się czyhać cień wilkołaka. Powypywały z głębokich toni jezior rusałki. Krążyły w niemym swym tańcu w perlistej mgławicy rosy—dziwożony.

Nie dziw, że tej nocy, gdy ucichł tumult bitewny, czerwona załoga fortu № 7 twierdzy grodzieńskiej skracała nieliczne chwile, pozostałe do zapowiedzianej nocnej wycieczki, cichym rozchodem o duchach. Dusza bolszewickiego żołdaty, oderwanego przemocą od sochy rodzimej i siłą gnanego do nieznanego dalekiej Warszawy, gdy się zalał, zdruzgotany potężnym cięciem polskiego ramienia trjumfalny pochód pod mury wiślanej stolicy, nie mogąc znaleźć wytłumaczenia nagłego

zwrotu wojennego szczęścia, szukała rozwiązania dziwnej zagadki w gusłach i czarach Polaków, w pomocy „siły nieczystej”, która stając po wrażej stronie zdołała za jednym zamachem odwrócić kartę zwycięstw armji czerwonej.

Gdy cios, wymierzony nad Wisłą, obalił zwycięską ofensywę Sowietów, pozbawiony wszelkiego patryotyzmu i poczucia obywatelskiego, otumaniony niezrozumiałemi dlań hasłami, gnany do trjumfów nahałem czerwonego komisarza, ciemny i zabobonny żołnierz czerwonej Rosji nie widział i nie rozumiał zgola owego wyteżenia sił narodowych, co zespoliwszy w jedną zwartą bryłę cały Naród wykrzesalo zeń potężny płomień zwycięstwa. Gdy w walce o byt z zalewem fali czerwonej chwycalo za karabin lub szablę obok starca dziecie, gdy ramie przy ramieniu w jednym szeregu stanal do walki smiertelnej obok inteligenta chłop i robotnik, gdy wola zwycięstwa, zaczerpnieta ze źródeł patryotyzmu i poświęcenia, rosła z dnia na dzień, gdy armja, co zdawała się być obaloną bezpowrotnie, z nieznaną mocą pierwszem cięciem hartownej Cudem Wisły stali przecięła pasmo zwycięstw—półdzikie, gnane naprzód pod strachem i żądzą rabunku hordy barbarzyńców w panicznym strachu zaczęły się cofać na wschód, jak cofa się fala, uderzywszy o potężną pierś granitowej skały.

Tak się dopala ognisko, niepodsypane świeżem paliwem: buchnie ostatnim płomieniem, by rozsypawszy się gorejącemi węgielkami szarzyć i tlić się,

dopóki pod warstwą szarego popiołu nie zgasną ostatnie iskierki. Tak pod murami Warszawy zgaśł sztucznie wzniecony zapal armji czerwonej, gdy zabrakło paliwa, gdy zdusiwszy najpotężniejszy jego płomień, nasz żołnierz rozpoczął swe dzieło zwycięstwa. Gdźieniegdzie, jak ostatnie dopalające się iskierki dogasającego ogniska, tlił się jeszcze opór szeregów bolszewickich. Na próżno. Nie były one w stanie rozpalic na nowo zwycięstwa.

Błady strach przeleciał po szeregach moskiewskiej hordy, ścinając krew w żyłach, szeroko rozwierając oczy wystraszonego żołdaka. Druzgotana zewsząd mocarnymi uderzeniami armji regularnej, szarpana przez uzbrojonych w kłonicę i kosy chłopów, horda mongolsko-moskiewska widziała w tych ciosach jakąś moc nadprzyrodzoną, wierzyła w głuchą wieść, co krążyć zaczęła po jej szeregach, iż z Polakami trzymają teraz upiory i strachy, iż duchy ich przodków, przywdziałwszy dawne, błyszczące zbroje, powychodziły z grobów i rażą po nocach wałęsające się niedobitki niedawno zwycięskich zastępów.

W tę cichą noc księżycową nie dziw, że myśl bolszewickiego żołnierza błąkała się właśnie około tych straszliwych wieści, od których włos się podnosił na głowie, a zimny pot zlewał ciało.

Twierdza dogorywała. Na osaczonym forcie zamierzano spróbować ostatniej rozpaczliwej nocnej wycieczki, która miała otworzyć drogę do przebiccia się na wschód. Gdyby się nie powiodło, pozostało tylko wyslizgiwanie się z fortu w pojedynek — lub niewola.

O paręset kroków od fortu ciągnęła się oddzielona odeń głęboką dolinką, połyskująca w srebrzystym blasku księżyca ostrzami bagnietów, cienka linja naszych placówek. Nikt nie spodziewał się tutaj, że w nocy ma nastąpić ostatni rozpaczliwy wysiłek wroga. Od wieczora ani jednego strzału. W niezamąconej ciszy, spowity w błękitnym półmroku, zdawał się we śnie spoczywać świat cały.

Aż nagle z ziejącej czarnym cieniem dolinki, co oddzielała nasze placówki od fortu, wynurzyła się tyraljerka i, bluznąwszy ogniem w oczy naszych, sunęła szybko pomiędzy placówki, a ponad jej głowami leciały roje rozśpiewanych kul z karabinów maszynowych fortu.

Nieoczekiwane natarcie powoduje zawsze w szeregach przeciwnika pewne zamieszanie. Tem bardziej atak nocny. Wszczął się ruch na placówkach. Beładne pukanie z karabinków. Trajektanie maszynek. Rozgwar. Nawoływanie.

Tymczasem z fortu wysuwała się druga linja bolszewickiej tyraljerki. Tylko szybki kontratak mógł uratować sytuację. Aby jeno niezwłocznie, aby jeno drugą linję w tym kontrataku powstrzymać... Tam nadbiegną rezerwy... Tam, na zagrożonym odcinku dadzą sobie radę przy ich pomocy z tą pierwszą linją... Aby tych chwil parę jeno wygrać... Aby jeno zdążyć z kontratakiem...

Szybko zorjentował się w tej sytuacji wysoki rotmistrz jazdy kresowej, która zarządzeniem losu znalazła się w pobliżu zaatakowanej linji. W tej olbrzymiej, cienkiej postaci, wyglądającej nieco śmiesznie, w długiej pelerynie z zarzuconym na

głowę kapturem, było dzielne żołnierskie serce. Ta wychudzona, blada, o zapadłych policzkach twarz, na której dziwnym blaskiem połyskiwały w świetle miesiąca duże okulary, tchnęła tak cichym spokojem wśród rozgwaru karabinów, że pięciu ułanów, których zdołał pan rotmistrz skupić naprędce, bez najmniejszego wahania ruszyło za nim w ciemną czeluść dolinki, gdy — zarzućwszy za ramię karabinek — skoczył naprzód ku owej świeżej tyraljerce z okrzykiem: „Za mną chłopcy! Zatrzymamy!” I chłopcy nie zawahali się na mgnienie oka, szybko gnali; jakby zakłęci pewnością siebie dowódcy, który sadził ogromnymi krokami, zdążyć się mogło, na spotkanie niechybnej śmierci. Gnali za swym rotmistrem, ogrzani zapalem i wiarą, iż powstrzymają napór, aż nadbiegną koledzy. Naprzód... coraz prędzej... Zda się w rozpędzie urastały im skrzydła.

Dopiero wypadłszy z cienia dolinki zwolnił kroku pan rotmistrz, krocząc teraz spokojnie. Już wiedział, że zdąży. O kilkadziesiąt kroków za sobą czuł swoich żołnierzy. A tam z tyłu od placówek zachęcał jakiś młody głos: „Naprzód ułani... Tam rotmistrz...”

Leniwym krokiem posuwała się od fortu bolszewicka tyraljerka. Żołnierz, po nocnych rozmowach bardziej jeszcze zachwiany na duchu, nie czuł zapalu, nie wierzył w powodzenie wycieczki. Złamany straszną klęską i długim odwrotem, już nie czuł woli zwycięstwa. Szedł, bo kazano, nie zdając sobie sprawy z położenia, bodaj już nie chcąc zwycięstwa.

W takim nastroju, po tych rozmowach, za każdym krokiem strach krył upiora. Aż nagle z czarnej czeluści dolinki, przed oderwaną od reszty tyraljerki grupą, złożoną z trzydziestu przeszło żołdatów, wynurzyła się jakaś nadludzkiach rozmiarów postać i krokiem równym, spokojnym dążyła wprost na nią. W srebrzystych falach miesiąca lśniły złowieszczym blaskiem wysokie, błyszczące buty, połyskiwał długi pałasz. Cała ogromna, zakapturzona postać ciągnęła za sobą niezmiernie długi swój cień. Na ocienionej kapturem bladej twarzy o zapadłych policzkach raz po raz niesamowitym ogniem błyskały oczy upiorne, gdy wykrzywione w ironicznym uśmiechu otyle lice miesiąca zerkalo psotliwie w okulary pana rotmistrza.

Tyraljerka stanęła... Salwa... Ogromna postać człowieka czy ducha sunie dalej — tym samym spokojnym krokiem... Nowa salwa... Duch sunie dalej... Kula się go nie ima... Salwa... Już zimną ręką strach ścisła serca bolszewickich gierojów... Salwa... On idzie... Ktoś poznał... Tak to ten sam... On go widział tam w Pitrze. Pokazywali go w teatrze. Taki sam był straszny, gdy stał nad klombem kwiatów, oświetlony snopami fioletowych promieni. Tak samo złowrogo błyszczwały mu oczy. Ta sama wychudzona, blada twarz wyglądała z pod czarnego kaptura peleryny... „Czort... spasaśsia, kto może...” przeleciało po szeregu, skuwając w niemym strachu całą tyraljerkę. Przeszyty strasznym słowem, zaklęty widokiem strasznego ducha, stanął skutym rozpaczliwym przerażeniem szereg, nie mogąc nawet uciekać.

„Rzucać karabiny. Na kolana!” donośnym głosem komenderował djabeł. I wypadały z rąk kara-

biny, zginały się kornie kolana. A tam z dolinki pelzły nowe strachy, spiesząc do swego rotmistrza.

Nim się zdążył opatrzyć wystraszony żołdak, już go!gnęła „siła nieczysta“, pozbawionego karabinów, na flankę własnej tyraljerki, rozkazując drzeć się co było mocy „hurra...“ I „hurra“ leciało z wystraszonych piersi „gierojów“, atakujących z golemi rękoma własną swą linję, nim zdołali w mniemanych duchach dopatrzeć się zwykłych żołnierzy. Teraz szli naprzód, gnani kolbami ułanów. Tymczasem do pana rotmistrza nadbiegały coraz to nowe grupki żołnierzy.

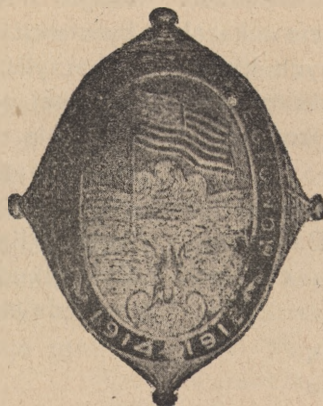
Zaatakowana z nagłą od flanki, druga linja atakujących bolszewików zawahała się przez chwilę i prysła. Tymczasem grały już zgodnym chórem maszyny, flankując pierwszą linję bolszewików, i leciało wesołe donośne „hurra“ idącej do kontrataku kompanji szturmowej.

Ostatnia próba przebiccia się przez polski pierścień zawiodła. Bandy zdemoralizowanej dziczy w beładnej ucieczce odpływały do fortu. Nad ranem fort był zajęty bez strzału.

*Otton Laskowski,
porucznik piechoty.*



Odznaka obrońców Kresów
Wschodnich (t. zw. Orlecia) 1919 r.



Odznaka „Pzez ocean
do Legionów“ (1914—1918 r.).



Odznaka za zdobycie Wilna.

LEKCJA.

Uśmiechali się pobłażliwie nasi „przyjaciele“, gdyśmy, legjoniści, w okresie tragicznych wysiłków o wolną Ojczyznę w latach 1914—1918 nazywali się wojskiem. A naszą niby wartość bojową określali bardzo często zdaniem: „To nie wojsko, a legjonery.“

Że się mylili, — dość często przekonywali się, ot, choćby w wypadku, który przytaczam poniżej, a który dobrze pamiętają żołnierze 3-ej kompanji 6-go pułku piechoty legionów polskich.

Było to dnia 6-go lipca 1916 roku na Wołyniu.



Stare przyzwyczajenia zdemobilizowanego akademika.

rys. S. Zalewski.

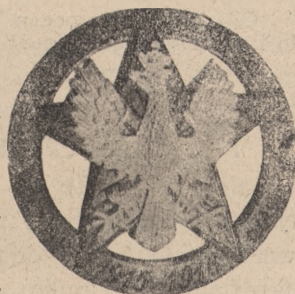
Cudny, słoneczny poranek zastał nas kończących linię nową przed lizjerą lasu u północnego stoku wzgórza Studzienicy. Senni, wyczerpani nocną pracą, czarni od zaschłej mazi potu i kurzu, z radością witaliśmy powstający w spokoju jasny dzień. Czarna kawusia, pocieszycielka żołnierza w godzinach bitewnego znoju, „nadjechała“ także; wkrótce posypały się dowcipy beztroskie.

Lecz spokój poranka nie rozciągnął się na dzień. Niezadługo, poza pojedynczymi gośćmi w postaci granatów, posypały się i salwy. Strona przeciwnika ożyła. Na niedalekim horyzoncie ukazały się szare masy piechoty, sunące w różnych kierunkach przeciwko naszym cienkim i rzadkim, pojedynczym linjom, przyczajonym w prowizorycznych rowach czy wnękach jeno.

Na lewo łączyła do nas komp. 4-a, a dalej na wzgórkę miał śliczną pozycję półbaon Bawarów.

I oto zaszedł wypadek, o którym chcę mówić.

Przeciwko Bawarom wysunęła się z błotnistej, zalesionej niecki szara masa piechoty przeciwnika. Dwa razy podsuwała się pod ich pozycję i dwa razy zawracała. Poszła raz trzeci i... stanowisko Bawarów zajęte! To śliczne stanowisko! A oni szybko cofają się w tył. Kompanja 4-ta, nie chcąc utracić z nimi łączności, też ustępuje z dotychczasowej pozycji. Moment bardzo groźny, gdyż w ten sposób cała linja może zostać zniesiona, względnie odcięta.



Odznaka III Bryg.
Legj. Pol. (oficerska).

Wtedy, pamiętacie towarzysze, jak szybko i sprężysto opuściliśmy swoje rowki i zajęli linię w poprzek dotychczasowej na powierzchni terenu, i dalej — jak celnie i gwałtownie zaatakowaliśmy ogniem naszych karabinów zdobywców wzgórkę, którzy już dalej postępować zaczęli. A skuteczne były nasze strzały, aż hej! Oto po kilku minutach szara masa jakby zawahała się, przystanęła i chyłkiem wzgórek opuszczać poczęła, zostawiając za sobą ciemne plamy tych, co cofnąć się już nie mogli. A po paru minutach jeszcze, gdy odsapnąć było można i otrzeć czoło obficie potem zroszone, zobaczyliśmy, jak Bawarzy wstydliwie z powrotem ku swej pozycji zdążyć zaczęli.

Ale to nie wszystko jeszcze.

Bo oto w kilkadziesiąt minut później fale piechoty rosyjskiej wyłoniły się przed naszym odcinkiem. Nie wzięliśmy jednak przykładu z Bawarów. Po kilkunastu sekundach gęstego ognia, ze względu na bliską odległość, padł rozkaz: „Bagnet na broń i do szturm!”

Wraz z brzękiem bagnetów, uniosła się z rowków naszych melodja pieśni: „Hej strzelcy wraz...” Broń w mocnym uchwycie zadrżała i z pieśnią na ustach ruszyliśmy, porywając i czwartą, naprzód! Lecz, o dziwo, — wróg pierzchał! Pierzcha mimo przewagi liczebnej, mimo, że widzi przed sobą cienką i rzadką linię „malców...” Tak, ale ta linja stalową duchem była.

Czy to nie lekcja?

*J. Załuska,
kapitan piechoty.*

Z tamtej strony frontu.

Gdy w roku 1914 wybuchła wojna europejska, kto tylko czuł się Polakiem, a w sercu miał iskrę patriotyzmu, uczył radość. Gdy nasi wrogowie i ciemniźcyiele, od stu lat zgodnie przeciw nam sprzysiężeni, wezmą się za łby i nawzajem się szarpiąc, osłabiać będą potęgę, co nas gniołła, otworzy się nam droga do wolności. Każdy czuł, że tak będzie, choć nie każdy rozumiał, jak do tego dojść można. Nie cieszyło nas, że będziemy walczyć za „wspólne ideały ludów słowiańskich”, jak nam zapowiadało nasze dowództwo, gdyż łatwo nam było odkryć w niem fałsz. Natomiast radość zapanaowała w duszach żołnierzy Polaków mojej formacji 45 Azowskiego pułku piechoty, gdy dowódcy kompanji obwieszczali żołnierzom, że trzeba się liczyć z wrogiem, ponieważ dochodzą nas słuchy, że po stronie Austrii powstaje prawie cała ludność polska, zdolna do noszenia broni.

Podkreślano także, że młodzież opuściła ławy

szkolne i uniwersyteckie i organizując się w jednostki bojowe, maszeruje wspólnie z armją austriacką na Moskali.

Gdy wkroczyliśmy do Galicji Wschodniej i maszerowali w kierunku Lwowa, doszła nas wiadomość, że ciężka będzie walka pod Lwowem, gdyż od kilkunastu dni młodzież polska, zorganizowana, uzbrojona i odziana w mundury polskie, dąży na pomoc wojskom austriackim, by nie oddać w ręce rosyjskie polskiego miasta, w którym dotąd niejeden Polak, chroniąc się przed uciskiem, zaznał bratniej pomocy i mógł zakosztować choć trochę narodowej wolności. Bo gdy cała Galicja mogła swobodnie mówić i pisać w języku ojczystym, święcić wspomnienia historyczne i zachowywać tradycję polską, to nam, Polakom w armji rosyjskiej, nie wolno było nawet do rodziny napisać listu po polsku.

Nic też dziwnego, że większość rodaków, szczególnie bliżsi Galicji Królewicy, sympatjami

swemi przechylała się ku stronie przeciwnej. Zaznaczam, że te uczucia sympatii były skierowywane nie do Austrii, jako takiej.

Nam chodziło tylko o jaknajrychlejsze złączenie się ze swymi rodakami na ziemi ojczystej, dla wspólnej wymiany myśli i porozumienia się o naszych sprawach narodowych.

Nie zapomnę nigdy, jakie piorunujące wrażenie zrobiła wiadomość o wzięciu Lwowa przez Moskali na naszą gromadkę Polaków, siedzących na biwaku, przy koleżeńskej pogawędce o naszych rodzinach, znajdujących się już wtedy pod niemiecką okupacją.

Jeszcze stokroć boleśniejszego wrażenia zazналиśmy wszyscy, kiedy w 1914 r., krocząc przez ulice Lwowa, zmuszeni byliśmy śpiewać piosenki rosyjskie. Samo miasto, ze swym prawdziwie polskim charakterem, pobudzało każdego — nie powiem do łez radości, lecz raczej do łez rzewnego smutku, ponieważ zdawano sobie dokładnie sprawę, że za kilka tygodni ten piękny i czysty Gród Polski zaleje zgnilizna rosyjska.

Bolesnych uczuć doznawaliśmy także, patrząc na kompletne niszczenie i okradanie ludności polskiej w siolach i wioskach naszej ziemi Ojczystej, a jednocześnie widząc potoki łez, wylwane przez ludność naszą w czasie błagalnych modlitw w świątyniach polskich o skruszenie wrogich najeźdźców. To też zawsze i wszędzie zauważyć można było Polaków — żołnierzy w mundurach rosyjskich, jak ukradkiem, chociażby na kilka minut, dążyli do świątyń polskich, by w modlitwie łączyć się duchem z ludnością cywilną.

Straszny obraz spustoszonych ziem polskich budził w sercu każdego wojaka-Polaka w mundurze rosyjskim gorące pragnienie, by nastąpiła za to wszystko kara na ciemieżców i silną wiarę, że ich ona nie minie.

Dlatego też wszyscy prawie Polacy-żołnierze, którym nadarzyła się sposobność, przy każdym bodajby małym odwróceniu, starali się dostać do niewoli, spodziewając się, że tam będą mogli zaciągnąć się do Legionów Piłsudskiego, obecnie Kochanego Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa.

Szczególniej bardzo dużo Polaków przeszło na stronę austriacką przy katastrofalnym odwróceniu rosyjskim z Karpat, w roku 1915, aż na ziemi Wołynia, gdyż wtedy doskonale wiedzieli wszyscy, że za nimi kroczy dość znaczne oddziały Legionów Polskich.

Pamiętam bardzo dobrze, jak wielka radość panowała w duszy każdego, gdy po przerzuceniu naszej dywizji 12-ej w lutym 1915 r. z Wołynia do Besarabji i po zajęciu pozycji pod Rarańczą, Bojany-Glinica i Rokitną, dowiedzieliśmy się, że

naprzeciw nas stoją Legjoniści ze sztabem w Czerniowcach, a małą rezerwą w Kołomyi. Jakże gorąca chęć wtedy ogarniała każdego z Królewaków, by przedostać się do oddziałów Polskich.

Nareszcie dwóm Polakom (jednemu z ziemi Piotrkowskiej — drugiemu z Kaliskiej) pewnej nocy zimowej, kiedy już taborowi ułożyli się do snu, udało się z narażeniem życia prześlizgnąć przez druty kolczaste na stronę austriacką. Wyższe Dtwo natychmiast wydało rozkaz nie posyłania na czołówki Polaków z Królestwa.

Wkrótce potem był wydany rozkaz przeprowadzenia rejestracji wszystkich żołnierzy wyznania katolickiego, celem przerzucenia ich na front turecki. Najgorszego wrażenia doznaliśmy wszyscy, gdy nam zakomunikowano, że rozpocznie się ofensywa na Czerniowce (było to w marcu 1915 r.). Wtedy ogarnęła nas trwoga, że będziemy musieli skierować kulę i bagnet przeciw naszym braciom.

Straszna to była chwila, gdy o świcie dnia 22/II st. st. przy złym stanie pogody na odcinku Rarańcza Rokitno, zagrały dziesiątki baterij różnych kalibrów i wywiązał się zaciekle pojedynek artyleryjski z obu stron, a po zniszczeniu okopów i drutów kolczastych miał nastąpić atak natarczywy. Radziliśmy wtedy z kolegą, a było nas tylko dwóch Polaków w kompanji, jak zaradzić temu, i walki bratobójczej uniknąć.

Po pierwszym jednak dniu strasznego obustronnego boju dowiedzieliśmy się, że Legjoniści opuścili okopy i udali się na wypoczynek do Kołomyi, a zastąpiły ich wojska madziarskie.

To nas uspokoiło; leżąc dalej w wygrzebanych szpadelkami okopach, czekaliśmy, jaki będzie dalszy rezultat. Rezultatem trzechdniowej i okrutnej walki było zajęcie przez Moskali odcinka okopów, gdzie poprzednio były rozlokowane oddziały Legjonowe.

Jakiegoż silnego uczucia doznałem wtedy z kolegą, znalazłszy się w tych okopach, które dopiero co opuścili nasi bracia.

W ziemiankach pełno było różnych broszur, pism polskich; nawet nad ziemiankami widniały napisy polskie. Na jednej, bardzo pięknie i masywnie zbudowanej, prawdopodobnie ziemiance dowódcy bataljonu, widniał napis: „Niech żyje Polska!“, a nad nim rozpięte były skrzydła z zabitego jastrzębia, mające wyobrażać orla polskiego.

Całą noc przy świetle świeczki przeglądaliśmy te wszystkie pisma i broszury, po polsku pisane, duchem polskim przejęte.

Znalazłem nawet wtedy książeczkę do nabożeństwa p. t. „Modlitwy Legjonów“ Ks. Biskupa Bandurskiego, którą później w roku 1918 dałem do przedrukowania w I Korpusie Polskim dla żołnierzy-dowborczyków.

Polacy - żołnierze mojej formacji złożyli hold pamięci tych rodaków, którzy polegli pod Nadworną w roku 1914. Wybudowano im ogólną mogiłę z pięknym metalowym krzyżem, na którym zapewne do dziś widnieje złoty napis: „Cześć Polskim Legionistom, poległym pod Nadworną 24 i 29 października 1914 r. w walce o wolność Ojczyzny“.

Kwaterując wtedy kilka dni w Nadwórnej (sierp. 1916 r.), z inicjatywy mojej i kolegi, Franciszka Purzyńskiego, ze Skierniewic, który poległ pod Kaniowem w walce z Niemcami, zrobiono składkę w pułku za dusze poległych legionistów, poufnie odprawioną została msza św. przez miejscowego ks. proboszcza.

Ciężkie było położenie nasze—Polaków, słujących w armji rosyjskiej za caratu, bo nawet nie wolno było nam marzyć o polskości. Za najmniejsze podejrzenie o polityczną nieprawomyślność czekała każdego kara śmierci.

To też uczuliśmy się szczęśliwi po rewolucji, gdy nam wolno było głosić hasła wolności i łączyć się myślą z rodakami poza wojennym kordonem.

Chwilą największej radości była dla nas ta,

której nigdy nie zapomnę, gdy rzucone zostało hasło tworzenia formacyj polskich po stronie Rosji.

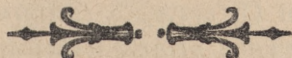
Wtedy zebrała nas się garstka mała w Karpatach leśnych koło Worochty, by omówić wspólnie sprawy pałace, a gdy w serdecznych słowach przemówił do nas Dr Żurkowski, Królewiał, widać było, jak ciurkiem płynęły wszystkim lzy radości, że nareszcie wolno nam mówić po polsku. Zbudziły się wtedy dusze polskie i ogarnęła każdego chęć jaknajszyszego opuszczenia szeregów rosyjskich, a wstąpienia do formacyj polskich.

Nareszcie sytuacja, którą od pierwszych dni wojny ogromna większość Polaków przewidywała, stała się rzeczywistością.

Na mocy faktów wyżej wymienionych oraz tego, o czym się naocznie przekonaliśmy w ciągu całego przebiegu wojny, musimy stwierdzić, że gdziekolwiek na kontynencie znajdowali się Polacy, niemal wszyscy przejęci byli jedną myślą, wiarą w oswobodzenie obecnie Zmartwychwstałej Polski.

Dlatego dziś, osiągnąwszy tę wymarzoną wolność Wielkiej i Zjednoczonej Ojczyzny, szanujmy ją i nie dajmy wyrzecz tym, którzy na nią czyhają,

J. Adamczyk.



Dzień 14 sierpnia 1920 roku.

W nocy z d. 13 na d. 14 sierpnia 1920 r. zelektryzowała sztab grupy płk. Wrzalińskiego i XXIX-ej brygady piechoty wielkopolskiej wiadomość, że delegacja polska udaje się do Mińska Litewskiego dla pertraktacyj z bolszewikami.

„Porucznik Sas pojedzie do bolszewików i omówi warunki przejazdu naszej delegacji“ — brzmiał krótki rozkaz. Myśl ta wywarła na mnie wrażenie. Jechać, jako parlamentarjusz do bolszewików, gdy oni są pod bramami Warszawy! — Wolalbym, aby to było pod Moskwą. Jednak — rozkaz.

Ha! trzeba bolszewikom pokazać, że tu, pod naszą Warszawą, musi się skończyć ich powodzenie; — pokazać, że jesteśmy jaknajlepszej myśli, że wyglądamy jak wojsko.

Zwróciłem się do rtm. Halickiego, prosząc o wybranie dwóch najtęższych i zadzierzystych ułanów, poprosiłem o wyznaczenie najlepszych i jednakiej maści koni. Prócz ułanów miał ze mną jechać jeden trębacz. Miałem rozkaz dojechania do linii bolszewickiej o godz. 5 rano (czyli o dwie godziny wcześniej przed przybyciem naszej delegacji), zawiadomienia d-cy pułku i brygady o przejeździe delegacji, oraz rozkaz spotkania delegacji bolszewickiej.

Z zakrętu (pod Miłosną), gdzie stacjonował nasz sztab, wyjechaliśmy o brzasku dnia szosą na

Mińsk - Mazowiecki. Kawalkada nasza wyglądała dość ładnie: cztery siwki, za nami samochód, wiatr łopotał proporczykiem 2-go p. ułanów i białą płachtą, osadzoną na lancy jednego z żołnierzy.

Jechaliśmy rażno; przy przejeżdżaniu naszej linii zasadniczej przyglądano nam się z okopów bardzo ciekawie. Przed nami, w tyraljerce, o dwa kilometry leżał jeden z naszych poznańskich bataljonów. Dowódca baonu oświadczył, że tyraljera własna zawiadomiona o przejeździe i wszelkie dyspozycje wydane. Rozkazałem szoferowi jechać o pół kilometra za nami, aby na wszelki wypadek figiel bolszewicki nie popsuł nam motoru.

Nie chcąc wskazywać, gdzie znajduje się nasza linja bojowa, przejechałem ją pełnym kłusem. Jechałem przodem, za mną ułani, na końcu trębacz.

Gdyby nie niezachwiana wiara w niezniszczalną moc Polski, ciężko byłoby jechać z taką misją. Pomimo to biała płachta działała mi na nerwy; wolę rozmawiać z nieprzyjacielem inaczej.

Konie szły ochoczo; klacz moja, cudna biała anglo-arabka, szła jak na gody, grała w niej krew. W dali, po prawej stronie szosy, zamajaczyły sylwetki bolszewików, ukrytych w rowie. Gdyśmy podjechali bliżej, zakotłowało się u nich i rozsypali się w tyraljerę, zebrałi się jednak momentalnie z po-

wrotem i znów zajęli linję tyraljerską. W dali na szosie pokazało się dwóch konnych; gdy zauważyli swoich, rozsypujących się w tyraljerę, zawrócili, pognali nahajami konie i popędzili galopem. Widząc to wszystko, przeszedłem na stępą. „Grać sygnał!“. Ale mój trębacz, czy to z wielkiego wzruszenia „zabrakło mu tchu“, czy inne były tego przyczyny, trąbić nie mógł. Będąc o kilkadziesiąt kroków od bolszewickiej placówki i widząc, że ci biorą nas na cel, zakrzyknąłem: „Rebiata, chodi siuda!“ Skonsterowało ich to bardzo, wstali i nie wiedzieli, co z sobą robić. Zwróciłem się więc do nich, mówiąc: „Będzie tu za mną przejeżdżał samochód, pamiętajcie przepuścić go i nie strzelać!“ Zbita w gromadkę placówka stanęła „na baczność“. Trębaczowi tymczasem „użyło“ i podał sygnał. Jak tylko głos trąbki przebrzmiał w powietrzu, dwaj konni bolszewicy, uciekający od nas galopem, zawrócili konie, popatrzyli się i ruszyli klusem na nasze spotkanie. Ruszyłem i ja. Jeden z bolszewickiej placówki zapytał mnie: „A co to takiego?“ — „Delegacja!“ Z dwóch konnych bolszewików przygalopował do mnie pierwszy: „Kto — taki?“ zapytałem. „Komisarz pułku“. — „Z kim mogę się rozmówić?“. „Ze mną lub z dowódcą pułku“. — „Niel ja muszę mówić conajmniej z dowódcą brygady“. — „To daleko“. — „No, macie przecież telefon“. — „Powinien być, ale gdzie, tego nie wiem“. — „Proszę poszukać!“ Komisarz odsalutował i odjechał. W trakcie tego podjechał drugi i znów: „Kto taki?“ padło z mojej strony. „Dowódca pułku“. — „Porucznik ze sztabu!“ — Zasalutował. Odsalutowałem. O sprawdzeniu moich dokumentów, związaniu oczu lub odebraniu broni nie było mowy. „No, cóż? Jedziemy do waszego telefonu?“ — „Jedziemy.“ Ruszyłem tak tęgiego klusa, że dowódca pułku musiał jechać za mną o długość konia.

Obejrzałem się na moich ułanów, oczy im się iskrzyły z zadowolenia, patrzyli z góry na obdarte bolszewików.

Druga z kolei placówka oddała honory. Przyjąłem.

Im dalej, tem bolszewicy czuli się pewniejsi i nie salutowali.

Przejeżdżając przez tor kolejowy pod stacją Dęby Wielkie, zwróciłem baczność uwagę, w którym miejscu i jak został on rozebrany. Opodal stacji w rowie był telefon. Zsiadliśmy z koni; oczekiwałem na rezultat usilnych starań komisarza pułku połączenia mnie ze sztabem brygady. Zwróciłem się do dowódcy pułku: „Spóźnił się pan; mieliście spotkać się ze mną o godz. 5-tej, tymczasem dwie minuty po 5-tej wasza tyraljera chciała nas powitać ogniem. Żołnierze nie byli w porę powiadomieni.“ — „Zostałem, panie poruczniku za późno zawiadomiony

przez wyższe dowództwo; jechałem właśnie uprzedzić swoją tyraljerę.“ — „Ale galopem w przeciwnym kierunku“, — zauważyłem z uśmiechem. — „Co się zaś tyczy godziny, to mieliśmy się spotkać o 8-ej według nowego czasu“ — ciągnął dalej. „Mnie nie obchodzi żaden nowy czas, tylko środkowo-europejski.“

Żołnierze bolszewicy, najdziwniej i najobdarciej ubrani, patrzyli z zazdrością na ułanów, odzianych jak na pokaz, przyglądali się mnie, mojemu mundurowi, szabli, i t. d. W ich wzroku znać było podziw wraz z pożądaniem i zazdrością.

Nadjechał mój samochód. W trakcie oczekiwania na połączenie telefoniczne podszedł do dowódcy pułku (dość przyzwoicie ubranego) jakiś wojskowy w płaszczu artyleryjskim i zapytał: „Dostałem jakiś rozkaz nie strzelania gdzieś i nie wiem, o co chodzi.“ Zwróciłem się do niego, mówiąc: „Ma pan rozkaz nie strzelania na $\frac{1}{2}$ km. w prawo i lewo od szosy Warszawa—Mińsk Mazowiecki; taka jest umowa.“ Chciał on jeszcze coś mówić, zapytany jednak przezemnie: „Poniali? — To proszę iść wydać rozkazy!“ — odsalutował i poszedł. Okazało się, że linja telefonu między sztabem baonu (t. j. naszym chwilowym postojem) a sztabem pułku nie działa.

Zwróciłem się więc do d-cy pułku: „Jedziemy do sztabu pułku i stamtąd spróbujemy się rozmówić.“ — „Kiedy ja nie wiem, czy pan może tak głęboko do nas jechać?“ — „Otrzymałem rozkaz porozumienia się z dowództwem brygady, spotkania waszej delegacji, więc rozkaz spełniam. — Ułani, konia! Na koni!“ — Dowódca pułku rad—nie rad—zrobił to samo. „Samochód ze mną razem!“ — „Przepraszam pana, ale samochodu nie puszczę.“ — „On mnie potrzebny; zresztą, o co chodzi? przecież—nie opancerzony. Jazda!“ — Ruszyliśmy w komplecie i w tym porządku, jak poprzednio.

Przyjechaliśmy do sztabu pułku. D-ca pułku wzywa do aparatu szefa sztabu brygady. „Niel ja chcę mówić z dowódcą brygady“. — Ledwo wymówiłem te słowa, gdy wtem od strony bolszewickiej usłyszałem turkot motorów. Porzuciłem więc telefon i wyszedłem na szosę, skąd nadjeżdżały samochody. Pierwszy z nich zatrzymał się o jakieś 15 kroków przedemną; dowódca pułku podskoczył, odraportował. Po jego raporcie poszedłem i ja. — „Kto z panów jest prezesem?“ — „Ja“ — odpowiedział jegomość w sile wieku; znać było, że to dawny, carski oficer. — „Porucznik ze sztabu.“ Zasalutowaliśmy jednocześnie. „Czy to cała delegacja?“ — zapytałem. — „Tak.“ — „Dobrze, więc w tej chwili poślę przez szofera do naszej delegacji wiadomość o spotkaniu.“ — Małeńki półciężarowy „Fordzik“ zęcznie zawrócił i powiół

meldunek. Samochód ten bardzo się podobał prezesowi delegacji.

Delegacja przyjechała trzema samochodami: w pierwszym siedział ów jegomość i dwóch wojskowych, w następnym mieszane towarzystwo, w trzecim dwóch komisarzy, wyglądających jak dawni czarnoksiężnicy, ubrani w śpiczaste czapki z wielką gwiazdą na przodzie.

Delegacja wysiadła i prezes zwrócił się do mnie: „Proszę, może mi pan wytłumaczy, co wy robicie, że wasze konie tak wspaniale wyglądają, mimo tak wielkich i forsownych przemarszów?” — „Opiekujemy się niemi należycie. Co do forsowności przemarszów, to istotnie prawda; np. moja klacz—gdzie ona nie była! w korpusie gen. Dowbór-Muśnickiego, na froncie polsko-niemieckim, na okupacji Prus i Pomorza, w Kijowie, za Berezyną, no, i teraz tutaj, ale na tem nie koniec.” Miny bolszewików podczas powyższego wyliczania nie były zbyt gęste.

W trakcie tej rozmowy jeden z ułanów wyjął bielutętki kawał chleba i podał mojej klaczy. Podszedł doń jeden z delegatów i zapytał: „Czy nie szkoda takiego chleba dla konia?” — „Ano chcesz, to masz i zjedz!” — To mówiąc, odjął chleb od pyska koniowi i dał go komisarzowi, który przyjął go nader skwapliwie i zaczął konsumować na poczekaniu.

Prezes delegacji zwrócił się do mnie: „Nie mamy tu czego czekać: jedziemy naprzód na spotkanie polskiej delegacji.” — Proszę; tylko ja pojedę konno na przódzie.—Ruszyliśmy stępą, samochody noga za nogą. Gdy dojechaliliśmy do przedostatniej placówki bolszewickiej, odezwał się do prezesa: „Tutaj możemy poczekać”. — Niel jedźmy dalej.” — „Proszę”. Gdy zrównałem się z ostatnią bolszewicką placówką, pomyślałem, że nie dopuszczę do tego, aby wróg zobaczył, gdzie jest nasza linja. Jednym susem rzuciłem klacz naprzód i stanąłem w poprzek szosy. „Dalej nie jedziemy!” — „Dla czego?” — zapytał prezes. „Proszę spojrzeć na mapę: o kilometr stąd szosa skręca na prawo; ponieważ działania bojowe przerwano na czas przejazdu tylko na $\frac{1}{2}$ km. na prawo i lewo od szosy, więc ogień tyraljery polskiej o $\frac{1}{2}$ km. od szosy dzięki skrętowi będzie skierowany na panów, a ja sobie tego nie życzę!” —



Odznaka Wojsk Wielkopolskich.

Delegacja wysiadła z samochodów. Zauważyłem w prawo od szosy pociąg pancerny, który podjechał najspokojniej w świecie o pół kilometra do szosy, stanął i czekał, aż delegacja przejedzie. Spostreegli go bolszewicy i zaczęli się przyglądać przez lornety. O $\frac{1}{2}$ klm. z jednej i drugiej strony szosy wrzał bój, a tu prowadziliśmy rozmowę prawie towarzyską. Chcąc o rozebrany torze uprzedzić pociąg pancerny — zwróciłem się do prezesa z tem, że pojedę z moimi ułanami kawałek na spotkanie naszej delegacji. Dojechałem do wysuniętego naprzód baonu i ku swej radości spotkałem starego znajomego, ppor. Kwiatkowskiego, d-cę pancernych pociągów Wielkopolskich: „Danuty”, „Rzepichy” i „Goplany”. — Zakomunikowałem mu, gdzie i w jaki sposób rozebrany tor. Na moje zapytanie: „Co myślicie robić?” odrzekł: „Poczekam, aż delegacja przejedzie, i pojedę z wizytą na stację Dęby Wielkie i dalej. Dziękuję za informacje”. Wróciłem do bolszewickiej delegacji. W trakcie rozmowy prezes zapytał mnie: „Ile dajecie owsa koniom dziennie?” Chcąc nadać większą prawdziwość mym słowom, zapytałem ułana „ile”? Ten kłamię jak z nut: „5 kg. panie poruczniku” — przetłumaczyłem — 12 $\frac{1}{2}$ funta. „Ho! ho! skąd bierzecie tyle owsa” „Chwalić Boga, mamy wszystkiego pod dostatkiem.” „Ale macie ładne konie w 4-tych p. ułanów.” „I owszem; konie dobre, ale to nie 4-ty pułk.” „A jaki?” „Nie 4-ty”. Uśmiechnął się — zrozumiał. „Do Siedlec będziemy mieli na samochód dobrą drogę, za Siedlcami już gorzej, a za Bugiem, toście tak panowie skandalicznie popsuli mosty i drogi, że wcale jeździć nie można”. „Znaczy się wszystko zrobione tak, jak powinno być”—odrzekłem. „Nazwisko pana porucznika” — Powiedziałem mu. „Czy pan bił się już z nami w 18 roku, w korpusie gen. Dowbora”? „A jakże”.

Wkrótce ukazały się samochody naszej delegacji i nastąpiło spotkanie.

Jakże innego doznawałem uczucia, gdy już po paru dniach przez te same miejsca i drogi w popłochu uciekała przed nami zgraja bolszewicka!

Sas,
porucznik piechoty.

Cena pojedynczego zeszytu „WIARUS” 3 Mk., z przesyłką 4 Mk.
w przedpłacie: miesięcznie 12 Mk., kwartalnie 36 Mk.

Adres Redakcji: Wojskowy Instytut Naukowo-wydawniczy Min. Spraw wojskowych. Zamek. Tel. 157.
Adres Administracji: Główna Księgarnia Wojskowa w Warszawie, Nowy-Swiat 69. Tel. 202-19.
Konto P. K. O. 162.

REDAKTOR: DR. WACŁAW TOKARZ.

Druk Wacława Maślankiewicza, Warszawa, Nowogrodzka 17. Telef. 29-66